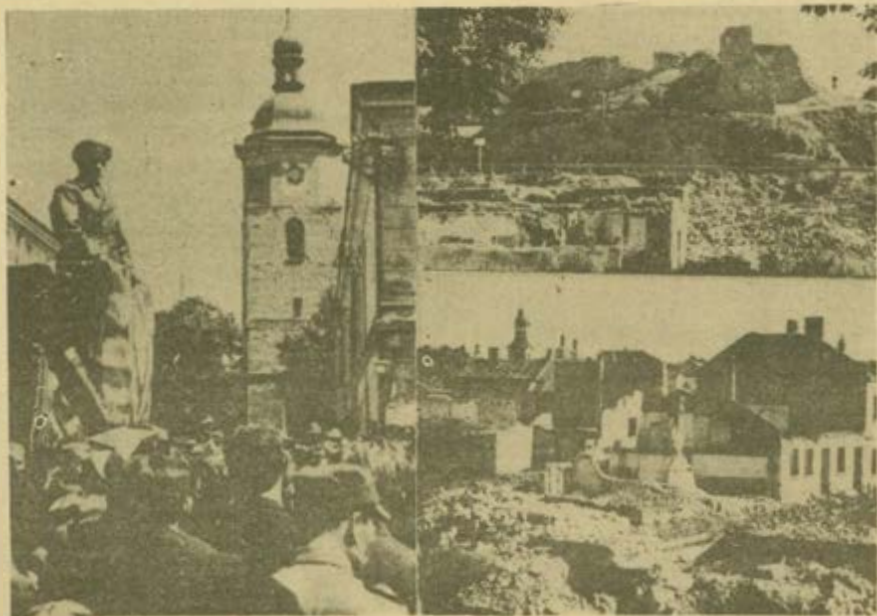


DUNAJEC

NOWOSĄDECKI MAGAZYN ILUSTROWANY

Maj 1980

Cena 4 zł



Oto krajobraz mojego dzieciństwa. Most nad Kamienicą przelamany w pół. Zburzone domy. Na wzgórzu rana największa – już nie do zaleczenia – zamek Piastów i Jagiellonów w zupełnej ruinie.

Między tym mostem i zamkiem, nieco bliżej Dunajca, miejsce po mojej szkole. Przy ulicy Tarnowskiej obezwładniony czolg. Broń i amunicja walające się bezużytecznie. Cmentarny zapach, eksplozje niewypalów, bieda. Pobojowisko widziane oczyma dziesięcioletka.

Jeszcze nie policzono strat, jeszcze nie Broń i amunicja walające się bezużytecznie szepcy dorosłych. Nadzieja i plotka. Koniec koszarnej nocy, o której powiemy później – polskie Termopile.

Na trybunie Słowianin ze Wschodu, na ratuszu alianckie flagi, na rynku kamienny Jagiello w asyście polskich żołnierzy tryumfalnie witany przez sądeczan. Radość, że „nie zginęła”, że w majowym słońcu łopocze Białoczerwona. Koniec wojny. Zwycięstwo.

Dźwigniemy mosty, odbudujemy domy – jakże proste wydawały się wtedy drogi ku

NOWY SĄCZ 1945



przyszłości! Kto zdawał sobie sprawę z prawdziwej ceny zwycięstwa? Okaleczone miasto, ograbiony kraj, miliony grobów... Wśród takiej scenarii, wśród takich realiów kielkowało życie, rodziła się nowa Polska. Dziedziczyliśmy pogorzeliśko. Dumne i dzielne, ale splądrowane przez barbarzyńców. Do rachunku narodowych krzywd zaliczyć trzeba nie tylko ofiarę krwi. Także – długie lata późniejszych wyrzeczeń.

Największe bodajże w dziejach Polski zwycięstwo, okazało się równocześnie najkosztowniejsze. Trzeba to wciąż od nowa przypominać, by w świadomości później urodzonych i w doświadczeniu całej zbiorowości Polaków na zawsze przetrwała pamięć o bezsensie wojny, o jej niszczytelnej sile i okrucieństwie. Chwała zwycięzcom i równocześnie wieczna pogarda sprawcom nieszczęścia.

Póki my żyjemy – i długo potem – w maju trwać będzie dyżur naszej czujnej pamięci: żeby już nigdy nie maszerowali na Wschód, żeby nie mordowali i nie plądrowali naszej ojcowizny. Na wiek wieków przekłęci, nie godni, by wymieniać ich z imienia...

Nie jesteśmy dziś sami. Antywojenny front jednoczy miliony ludzi. To również rezultat tamtego zwycięstwa, którego rocznicę świętujemy. Rezultat doświadczenia całej rozumnej ludzkości.

A. O.

Quo vadis, PTTK?

W jadłospisie Murowańca, schroniska na Hali Gąsienicowej, figuruje od lat ta sama kasza z masłem. Cena — dziś już śmiesznie niska — jak i samo danie to ostatnie pamiątki z czasów minionych. Na całym turystycznym szlaku zostało wyparte przez brizol z pieczarkami.

Kasza i brizol to symbole dwóch różnych epok w działaniu PTTK.

Nowa era zaczęła się z chwilą, kiedy Towarzystwo z organizacji społecznej zaczęło się przekształcać w rozbudowane zjednoczenie gospodarcze. (...)

Ankieta przeprowadzona wśród kilkudziesięciu turystów górskich, długolentnych i gorliwych aktywistów PTTK, wykazała, że 70 proc. spośród nich w ogóle przestało korzystać ze schronisk, zrązonych stałym brakiem miejsc i koniecznością wcześniejszej ich rezerwacji. Wiele schronisk zmieniło swój charakter, z górskiego na hotelowy. W ciągu ostatnich paru lat zlikwidowano co czwartą wypożyczalnię sprzętu turystycznego (...) „Przegląd Techniczny” drukuje wstrząsający raport o stanie schronisk tatrzańskich; tytuł: „Ludzie i tak przyjdą”...

WITOLD PAWŁOWSKI
„Polityka”



W Gorlicach powstaje nowe osiedle mieszkaniowe „Korczak” dla 2,5 tys. mieszkańców
Fot. STANISŁAW SMIERCIAR

Narciarstwo w Tatrach

Jeżeli już nie można zlikwidować tego, co się poprzednio zbudowało, żadną miarą nie trzeba poszerzać bazy narciarskiej; raczej zniechęcać narciarzy do korzystania z istniejącej. Tak właśnie, choć często mylnie, a w każdym razie niezbyt dokładnie, interpretowano stosunek TPN do nart (...). Wszystkie trudności z uprawianiem narciarstwa pojmowano w kategoriach konfliktu między narciarzami a ochrońcami.

(...) Obecnie sytuacja się zmieniła. Na szczęście. Nikt już bowiem dziś nie może twierdzić, że Park jest zdecydowanym wrogiem nart i że kierowała nim jedynie ambicja suwerennego posiadacza, który nie chce mieć obcych na swoim folwarku. Jest już gotowy

plan zagospodarowania przestrzennego Tatr, który dopuszcza możliwość równoważnego rozwoju narciarstwa w Tatrach.

(...) Czy wreszcie będą narty z prawdziwego zdarzenia w Tatrach? Stanisław Maruszak uważa, że tak. Najlepszy zjazdowca w dziejach narciarstwa, a także znawca tras na całym świecie, Andrzej Bachleda twierdzi, że nie.

WIKTOR OSIATYŃSKI
„Kultura”

Wnuk Batorego

Wszystkich, którzy do tej pory nie mogli uwierzyć w rzeczy niemożliwe, wszystkich trzęsących historyków i chytrych dziejopisarzy grzebiących w starych rocznikach i współczesnej historii, wszystkich ubogich duchem niedowiarłów stawiających wyżej słowo drukowane czy zapisane gęsim piórem niż oczywiste dające się spraw-

dzić otrzymała akurat na ferie zimowe. W sprawie tej otrzymaliśmy wyjaśnienie Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Turystycznej w Nowym Sączu. Wyjaśnienie zajmuje trzy bite strony maszynopisu, a wynika z niego, iż przedsiębiorstwo nie innego nie robi, tylko z powodu wyciągów musi cierpieć i pokrywać deficyt. Pozostanie tajemnicą, która nie mieści się w ekonomii, dlaczego wszędzie na świecie na wyciągach się zarabia, a u nas traci.

„Sportowiec”

Ewelina Pęksowa

Malarstwo na szkle Eweliny Pęksowej, znanej twórczyni ludowej z Zakopanego, znajduje się w zbiorach wielu muzeów. Można je podziwiać m. in. w Muzeum Tatrzańskim w Zakopanem, w Muzeum Etnograficznym w Krakowie, Toruniu, Łodzi, a także w tego typu placówkach za granicą. Jej twórczość prezentowana była w ekspozycjach polskiej sztuki ludowej w krajach niemal całej Europy.

Dzisiaj na ulicę Cichej Wody w Zakopanem, do rodzinnego domu znanej artystki plastyczki, góralki z dziada pradiada trafiamy z nieco innych powodów. Pani Ewelina jest bowiem także matką dwóch synów i od niedawna — babcią trojga wnucząt. W jej pracowitym życiu, wypełnionym gospodarskimi obowiązkami (dom, pole, hodowla), rozwijaniem twórczych pasji zdecydowanie pierwsze miejsce zajmowała przede wszystkim rodzina, dzieci.

Z. ŻMUDA
„Trybuna Ludu”

Akwarele Pawlikowskiego

Malarstwo i rzeźba Wiktora Pawlikowskiego doskonale są znane nie tylko w ośrodkach polonijnych Francji, Anglii, Włoch i Kanady, ale także w kraju, gdzie były już wiele razy wystawiane. Akwarele Pawlikowskiego mają obecnie możliwość poznać mieszkańców Nowego Targu.

45 obrazów powstałych na rodzinnym Podhalu jest świetną ilustracją tutejszej codzienności. Jest to precyzyjna dokumentalistyka i żywość barw przydrożnych kapliczek, wiejskich kościółków i krajobrazu Tatr.

Większość akwareli została zakupiona przez kolekcjonerów. Na wystawie dyżurował twórca, ciekawą wrażeń z wiedzających. Sumę ocen najlepiej ujmuje wpis do książki pamiątkowej wystawy: „To znakomity obraz Podhala, przetworzony żywą wyobraźnią twórcy”.

„Gazeta Południowa”

Zatrudnię od zaraz...

Nowy Sącz i otaczające go wsie przez długie lata były uważane za teryen o szczególnie dużej nadwyżce siły roboczej. Tu prowadzono zaciągni na wszystkie wielkie budowy w kraju, ale równocześnie wrosła możliwość zatrudnienia na miejscu. Szczególnie wysokie tempo wzrostu zatrudnienia nastąpiło w latach 1971—78. W tym to okresie uruchomiono ponad 12 tys. nowych miejsc pracy, z czego blisko 5 tys. — dla kobiet.

Obecnie w Nowym Sączu występuje przewaga wolnych miejsc nad liczbą kandydatów poszukujących pracy. Ogólnie niedobór pracowników w stosunku do założeń planowych szacuje się na około 500 miejsc. (...) Należy liczyć się z postępującym zjawiskiem niedoboru siły roboczej.

„Dziennik Polski”

SOS z Krynicy

Krynica jest Mekką dla kuracjuszy, ale hokeiści stąd uciekają. Parę lat temu odszedł z klubu najlepszy atak Zabawa — Ślusarczyk — Kubala. W oświecimskiej Unii gra Dariak, w ŁKS-ie Mużelak, w Polonii Bytom Kielbicki, Latasiewicz, z początkiem sezonu do Tych przenieśli się Chrzastek, Gawęcki, Białik w Legii gra drugi z Białków Marek. Tych gwałtownych ubytków klub nie był w stanie prędko zregenerować. Powód tego exodusu jest prosty. Tam gdzie wędrują, dostają lepsze posady, mieszkania, samochody.

Jest sprawą nie tylko KTH, by ten zasłużony i czynny ośrodek hokeja uchronić przed powolnym obumieraniem. Klub potrzebuje pomocy, choć teraz po degradacji będzie o nią jeszcze trudniej.

MARIAN CZAKAŃSKI
„Sport”

Kenarczycy

Idąc ulicą Kościeliską w Zakopanem, trudno nie zauważyć okazałego budynku z wyrzeźbioną ręcznie drewnianą tablicą głoszącą, że znajdują się tu warsztaty szkolne Państwowego Liceum Technik Plastycznych im. Antoniego Kenara. To właśnie stąd wywodzi się cała plejada znanych polskich rzeźbiarzy i plastyków. Wystarczy wspomnieć nazwiska Władysława Hasióra lub Antoniego Rząsy, którzy rozslawili w Europie polską rzeźbę. Dziełem tego ostatniego jest wstrząsająca rzeźba na grobie Kenara w Zakopanem.

(...) W Zakopanem przywiązują się wiele uwagi do kulturowania tradycji rękodziela ludowego. Piękne wyrobki wykonują dziewczęta uczące się w Technikum Taktuwa Artystycznego. Tajniki wznoszenia i konserwacji drewnianych domów poznaje młodzież w Technikum Budownictwa Regionalnego.

„Gazeta Olsztyńska”

dzić fakty, niniejszym informujemy, że u schyłku XX wieku w Nowym Sączu, przy ulicy Jagiellońskiej, żyje najprawdopodobniej WNUK STEFANA BATOREGO, KRÓLA RZECZYSPOLITEJ OBOJGA NARODÓW. Stwierdzając powyższe jesteśmy świadomi, że król ów zmarł 12 grudnia 1586 roku w Grodnie, i że nie miał dzieci.

Królewski wnuk nazywa się Jan Agopowicz, jest magistrem i księciem krwi, choć mamy wątpliwości co do kolejności tytułów. Faktem jest, że nim został magistrem, był już księciem.

JANUSZ KOSZYK, LESZEK MAZAN
„Przekrój”

Wyjaśnienie

Pisałismsy w rubryce „Sprintem”, iż w Koszarzyskach w Dolinie Słońca podniesiono znacznie ceny biletów na wyciągi narciarskie, a prezent ten mi-

najczęściej przyzwyczajeni. A czy można tę prowincję wytepić? Ee — skrzywił się znou. No właśnie. To jest istota postawy, w naszym politycznym żargonie nazywanej niekonstruktywną. Ponarzekać i rozeźnić się.

Twierdzić, że wytepić można. A kibicami niech się martwią sportowcy (zresztą w to akurat wątpię).

Jest gorzkie porzekadło: „Najlepiej — nie myśl. Jeżeli myślisz —

O dyskretnym uroku prowincji

ma swoje miejsce. Przecież nie byłoby stolicy, gdyby nie było prowincji! Oczywiście, z wyjątkiem państw w rodzaju Monako, ma to sens tylko w geografii. Są jednak, i to bardzo rozległe, obszary prowincji gorszej — bo prawdziwej. Ta tkwi w ludzkich głowach. Nie jest to specjalnie odkrywcze — skrzywił się sceptycznie tzw. urodzeni lub

nie mów. Jeżeli mówisz — nie pisz. Jeżeli piszesz — broń Boże, nie publikuj. Jeżeli publikujesz — no, to się już niczemu nie dziw”.

Człowiek nieskazitelnie ucwoy i szlachetny zagrzmł tu szczerym oburzeniem — jak to, przecież... itd. Pewnie, przynajmniej mu rację, wzruszeni szlachetnością i przekonani do logiki jego rozumowania. Po czym

popatrzymy mniej szlachetnie, za to bardziej praktycznie (te dwie cechy nie zawsze idą w parze): skoro tak mówią, to widocznie coś w tym musi być. Poślabnie jak w platkach przeważnie tkwi mniejszy lub większy kawałek prawdy. Tutaj są wyraźne przestrogi.

Zobaczymy, co wyniknie z tego, że waże je sobie lekce. Tzw. gościnnych lamów udziela mi „Dunajec”. Pismo na razie — odpukać — nie ma w sobie biuletynowej oficjalności, nie zamieszcza reportażyków z otwarcia przedszkola, zacytujących od słów „wita nas gwar dziecięcych głosików...”, nie wychwala „gestorów sudeckiej gastronomii”, a redaktorzy nie używają zwrotów w rodzaju „w murach naszego grodu”.

Spróbuję. Liczę na listy i odpowiedzi. Szczere, nietuzinkowe, nieuglaskane.

Spróbujemy: co naprawdę widać ze Sącza?

WACŁAW RACZKOWSKI



Co widać ze Sącza?

Widac stąd więcej niż się wydaje zadowolony z licznych metropolii — prawdziwych i zwłaszcza mniemanych. I także niekiedy „męczennikom”, przeklinającym swój prowincjonalny los i przeżywającym w rozgoryczeniu straconą — rzekomo — wielką szansę. Różnica między rozgoryczeniem a straconą szansą jest taka, że rozgoryczenie jest prawdziwe (niezależnie od logiczności pobudek), utrata szansy — rzekoma; zaś sama szansa — to najczęściej miraż. Co prawda pewnym dysonansem w tym porządku jest fakt, że urok prowincji najczęściej wynoszą obywatele na stałe zameldowani w stolicy, ale czy nie jest to właśnie dowód na tezę, że z góry też nie wszystko widać? Pewnie, że Paryż w porówna-

Ziemia nowosądecka od dawien dawna cieszy się zainteresowaniem uczonych i pisarzy. Dzięki ich książkom stosunkowo dobrze znamy jej zmienne koleje losu. Również współcześnie powstają dzieła wzbogacające wiedzę Polaków o nasz region, o jego przeszłość, o nowych ambicjach i dokonaniach. Wychodzą one zarówno spod pióra twórców tutejszych jak i tych, którzy mieszkając gdzie indziej obdarzają ją sentymentem. Przyjmujemy je równie serdecznie, z uwagą i szacunkiem. Wieńcząc długotrwały wysiłek twórczy — inspirując czytelników do dalszych działań, rozświetlając złożone problemy, odświe-

żają emocje zbiorowe i spojrzenie na bliski naszym region. Są czynnikiem pobudzającym jego przeobrażenia.

Majowe dni polskiej kultury stały się dla nas impulsem do rozejrzenia się wśród tych przedsięwzięć artystycznych i naukowych, których rezultatem w ubiegłym roku były publikacje traktujące o ważnych dla województwa sprawach. Jest takich książek nadspodziewanie dużo. Po wnikliwym namyśle postanowiliśmy nagrodzić autorów prac, które wyróżniają się walorami literackimi i trafnym wyborem tematu.



Zwracam się do Was z taką sprawą: Oddział Wojewódzki Stowarzyszenia Twórców Ludowych w Nowym Sączu nie ma swojej siedziby, nie ma najskromniejszego choćby pomieszczenia na biuro ani na spotkania. Ta potężna organizacja, zrzeszająca około 300 członków z naszego województwa, reprezentujących wszystkie dyscypliny twórcze, a także patronująca nadal członkom STL z województw: krakowskiego, bielskiego i tarnowskiego, ma więc ograniczone możliwości pracy. Urzędowanie odbywa się w Krościenku w prywatnym mieszkaniu sekretarza Oddziału, kol. Liga. Bardzo to utrudnia współpracę z Urzędem Wojewódzkim, Komitetem PZPR, a także innymi władzami województwa. A przecież 300 osób — twórców z nowosądeckiego, zrzeszonych w Oddziale — chce i może wiele dla województwa i miasta Nowego Sącza zdziałać. Garnie się do nas sporo ludzi, w tym — co bardzo cenne — również młodzież, zainspirowana folklorem i sztuką ludową.

W imieniu Zarządu Oddziału gorąco proszę więc o pomoc w uzyskaniu w Nowym Sączu chociażby skromnego lokalu na siedzibę Oddziału.

JÓZEF CITAK (Krynica)

Prezes Oddziału Wojewódzkiego Stowarzyszenia Twórców Ludowych

NAGRODY „DUNAJCA” i SĄDECKIEJ „KUŹNICY”

Laureatami nagród „Dunajca” i sądeckiej „Kuźnicy” zostali:

MICHAŁ BALARA z Nowego Targu za gawędy ludowe pt. „Spiski kotlik dukatów” (seria tatrzańska Wydawnictwa Literackiego, słowo wstępne Tadeusza Staicha);

HENRYK BARYCZ z Krakowa, redaktor pracy zbiorowej „Historia Starego Sącza od czasów najdawniejszych do 1939 roku” (Wydawnictwo Literackie);

WANDA CZUBERNAT z Raby

Wyżnej za tom wierszy „Kino” (Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, wybór, opracowanie i postowie Tadeusza Staicha, malowanki Eweliny Pęksowej);

ANTONI KROH z Nowego Sącza za „Współczesną rzeźbę ludową Karpat Polskich” (Ossolineum);

MICHAŁ JAGIELLO z Warszawy za „Listy o stylu zakopiańskim” (Wydawnictwo Literackie);

TADEUSZ SZCZEPANEK z Zakopanego za koncepcję ochrony kraj-

obrazu kultury na Podhalu, Spiszu i Orawie, opublikowaną w „Roczniku Podhalańskim”, zredagowaną przez zespół pod jego kierownictwem (Krajowa Agencja Wydawnicza);

EDWARD WALIGÓRA z Krakowa za pracę pt. „Bogaetwo jest tu nie — o rzeźbach i wierszach Józefa Janosa” (Muzeum Etnograficzne w Krakowie).

ANTONINA ZACHARA-WNEKO-WA z Rabki za „Wiersze spod Górców” (Wydawnictwo Lubelskie).

● **CO WOLNO NACZELNIKOWI?** Otóż w gminie Nawojowa wolno wydać zezwolenie na budowę nowego domu, zapomnieć o doręczeniu klauzuli nakazującej rozbiórkę starego domu, zaś po trzech latach domagać się jednak rozbiórki, choć kto inny się budował, a kto inny mieszka w starym domu. Wolno także przez dwa lata nie udzielić żadnej odpowiedzi rolnikowi, który przedstawił uzasadniony wniosek o zmianę klasyfikacji gruntów. Wolno wreszcie zgodzić się na budowę domu z warsztatem na owym gruncie, choć nadal ma on klasę III. Następnie wolno cofnąć zgodę, podając w uzasadnieniu, że budowę rozpoczęto na gruntach o niewyjaśnionej klasyfikacji.

Obywatel, który ujawnił powyższe braki w dokumentacji, opieszalność i balaganierstwo gminnej administracji, miał prawo spodziewać się podziękowania od Urzędu Wojewódzkiego. A także zrozumiałej odpowiedzi na swe wątpliwości. Ponieważ działający z upoważnienia wojewody mgr Janusz Pałec przestał jedynie na odpowiedzi w stylu „tak, ale...”, zapytujemy wyraźnie: jaka jest dzisiaj podstawa prawna do wyburzenia domu Jana Jarosza z Nawojowej? Jak został ukarany naczelnik przez dwa lata nie udzielający odpowiedzi rolnikowi? Jakim cudem zdobywa się jesienią roku 1979 zezwolenie na budowę domu z warsztatem na gruntach III klasy?

● **POLECAMY SWE USEUGI.** Zakład fryzjerski I kategorii w sądeckim „Orbisie”, popołudnie, klienci stojąc czekają na ostrzyżenie, pan w białym fartuchu od 20 minut siedzi na fotelu przed lustrem i wykonuje robotę papierkową. Pytam, czy obsługa jest tutaj jednoosobowa. Pan kierownik nie zniża się do rozmowy z klientem: jest już po pracy. Próbuje więc u jego zwierzości dowiedzieć się, czy ta odrapana kłitka z brudnymi umywalkami, zniszczonymi szafkami, jednoosobową obsługą, wyniosłym kierownikiem i kolejką stojących klientów — mieści się w standardzie I kategorii. Zdaniem pani, kontrolującej fryzjernie wojewódzkiego miasta — mieści się.

Co na to Wojewódzka Usługowa Spółdzielnia Pracy? Może dałoby się zrehabilitować staroswieckie obyczaje w stylu: przepraszamy, polecamy się na przyszłość? Kiedy przy każdym fotelu fryzjerskim stanie nie statystyczny, lecz faktyczny pracownik? I nie narzekajcie, pro-



szę, na zamrożenie inwestycji: spróbujcie lepiej wykorzystać istniejące lokale.

● **NAUKA POSZŁA W LAS.** Radził Antoni Kroh ustawienie dodatkowego koszyka przy kasach sklepów samoobsługowych, żeby ekspedientka nie na ładę, lecz właśnie do tego koszyka przekładała nasze zakupy. Istotę usprawnienia pojął dyrektor WSS i nakazał jego stosowanie. W sądeckim „blaszaku” przy osiedlu Millennium za nic mają dyrektorskie polecenie. Więc może po premii należy uderzyć, skoro po dobroci się nie da?

● **PRZESZLI NA AKORD.** Dlaczego Nowy Sącz tonie w śmieciach? Sprzętu wam brakuje czy ludzi? — Przeprowadzamy właśnie reorganizację systemu wynagrodzeń: przechodzimy na akord. Kubły będą teraz terminowo opróżniane, a każda interwencja mieszkańców sygnalizująca zaniedbania spowoduje obcięcie premii nierzetelnemu pracownikowi.

Minęły trzy miesiące. Od kilku dni dzwoniemy do zakładu technik sanitarnych: dlaczego nie dotrzymujecie zobowiązań,uchy nas zjedzą! W odpowiedzi — obiecani cacanki... Widać, że szefostwo firmy nie panuje nad sytuacją. Trzeba ruszyć się od biurka, skontrolować pracowników. A dzwoniącym — należy się przeprosiny: placimy i wymagamy.

● **MADE IN HOLLYWOOD.** W telewizji amerykański film „Młode lwy” nakręcony na kanwie powieści Irvina Shawa. W książce bohater ginie, w filmie natomiast szczęśliwie wraca z wojny do domu i dziecka. Rozumiem, dlaczego w USA sfinansowano akurat taki scenariusz. Alłiści polskiemu telewizywowi można by po projekcji powiedzieć prawdę o przeinaczeniu zamysłu pisarza. Między śmiercią, a ocaleniem

różnica bowiem spora. Jak między prawdą i kłamstwem.

● **GŁOS FACHOWCA.** Jan Ciszewski podczas meczu piłkarskiego Włochy — Polska stwierdził, że w naszej drużynie wyróżnia się Roman Wójcicki. Kopaliśmy trochę piłkę w przeszłości i sądzimy, że futbolista zaimpowował komentatorowi solidną budową fizyczną. Natomiast tajemnicza pozostaje, jak można nie widzieć nieporadności Wójcickiego w przyjęciu i rozegraniu piłki.

● **ZACHWYTY W PRASIE.** O co chodzi? Organizatorzy wycieczek obiecują wczasowy dla rodziców z małymi dziećmi. Pięknie, z pewnym jednak zastrzeżeniem... Otóż zobaczyłem ostatnio w pensjonacie „Morskie Oko” w Bukowinie absolutny dyktant niemowlaków, których „Orbis” wpuścił w swoje ściany wraz z bezroskami mamusiami i zwykłymi wczasowiczami łaknącymi spokoju.

Zgodzi się zapewne ze mną doświadczony i zyciulwy dyrektor „Kasprowego”, Lesław Łukasiewicz, że wycieczek pełnego energii małucha i jego jakże często nieudolnej mamy, szczęśliwej, że dziecko choć trochę hasa pod cudzymi drzwiami i można wreszcie odechnąć — nie da się pogodzić pod jednym dachem z wyciecznikiem kogoś, kto nie znosi jazgotu.

Rad bym dzieciom nieba przychylić, Ale nie wtedy, gdy wczasują ze swymi mamami, Takie wczasu trzeba organizować w wyraźnie oddzielnych domach, informując pozostałych klientów, co ich czeka.

● **EMOCJE PROFESORA.** Wykrzyknikiem zakończył swój list do „Życia Warszawy” prof. Z. T. Wierzbicki. Powodowała autorem wiadomość, że w Tatrach projektuje się budowę kolejek linowych „i to w okresie nakładającym się kryzysu ekologicznego i ekonomicznego!”

Profesor widocznie woli, żeby nadal tłumy ludzi z nartami na plecach wdeptywały trasę z Kuźnic do wyżej położonych pól śnieżnych. Natomiast kolejki linowe pogłębiają kryzys ekologiczny... W powietrzu?

● **STRACILIŚMY LESZKA MAZANA.** Z zadręcią oglądamy Leszka w telewizji. Częstotliwość pojawiania się na wizji naszego ziomka utwierdza nas w podejrzeniu, że znowu nie zdąży z obiecany tekstem dla „Dunajca”.

ANDRZEJ MARCZYK przeszedł tysiące kilometrów. Padał pod kulami i biegł na przeciw kulom. Jeden z setek tysięcy żołnierzy na wielkim wojennym szlaku Jeden z tych, którzy tworzyli historię.

Miałem dwadzieścia lat, od kilku miesięcy nosiłem mundur i bardzo chciałem przyczynić się do obrony Ojczyzny. Wychowałem się na patriotycznych czytankach, a przy tym nęciła, jak każdego młodego chłopaka, wojenna przygoda. W Wilnie, dokąd pięć lat wcześniej, po śmierci moich rodziców, przywiózł mnie przyjaciel ojca, odczuwało się wojenne zagrożenie, słychać było o incydentach granicznych; inspirowanych przez Niemców. Wraz z kolegami z pułku brałem udział w obławie na dywersantów i wykrzyci ich składu broni. A przecież wybuch wojny był zaskoczeniem — i nie uwierzyłbym, gdyby mi ktoś wtedy powiedział, że do jej końca jest tak daleko!

Elżbieta Glinka

WPISANIE W HISTORIĘ



Poczet sztandarowy 1 PAL przed frontem pododdziałów zgromadzonych w obozie sieleckim do przysięgi CAF-WAF — Archiwum

Pokretnie wojenne losy cisnęły mnie hen, na wschód, przez Kottas, Uchtę, Peczorę, aż po Worskutę. Pracowałem przy budowie linii kolejowej. Prosty narzędziami, w strasznych warunkach pustkowi, mrozu, niedojadania ciężłymi las, układał szyny. Naraz przyszyli wieści, że w Kujbyszewie formuje się jakies polskie wojsko... gdybym wtedy zdążył, inaczej potoczyłyby się moje losy. Mnie — widać — było sążone nie z Anderssem pójsd do walki. Na razie musiałem znów szukać chleba. Znalazłem pracę w Syftyskarze, takiej miłościnie o dziesięciu murowanych domach. Pracowałem w stolarni. Był tam pewien pół-Polak, Bobow się nazywał — bardzo mi pomógł. Wojna mnie dogoniła; choć do Syftyskaru Niemcy nie doszli, to przecież wojenne warunki, ograniczenia mocno dawały się we znaki.

Na początku 1942 r. ogłoszono werbunek do Armii Czerwonej. Zgłosiłem się jako „dobrowolec”, ochotnik, bo wiedziałem, że chyba tylko ta armia potrafi powstrzymać niemiecką nawałę. A ja miałem z Niemcami swoje własne rachunki. Za Polskę.

Pod Moskwą, koło miejscowości Gorki, przeszedłem krótkie przeszkolenie — i zaraz wysłani nas gdzieś pod siolo Tuszyno czy Paszyno, nie pamiętam, między Kurskiem a Orlowem. To było piekło! Z naszego batalionu nie więcej niż co dwudziesty pozostał zdolny do dalszej walki. Pole do słownie było ustrone rozbitym sprzętem i trupami, a nad tym wszystkim krały czarne chmury: kruki. W jednym z kolejnych starć zostałem lekko ranny, ale zauważyłem to dopiero po paru godzinach.

Przeszedł rozkaz: mam jechać do jakiegoś obozu na tyły. Po co? Dlaczego? Nie wiedziałem. W głę-

bi lasów zgromadzili nas w barakach; samych młodych, wysportowanych chłopaków. Ćwiczyliśmy walkę wręcz, sposoby używania broni krótkiej, białej — ot, oddział do zadań specjalnych. Wreszcie wyruszyliśmy na lotnisko polowe. Tam dali nam spadochrony, pistolety, granaty, materiały wybuchowe. Dowiedzieliśmy się, że będziemy wylapywać dywersantów i niemieckich skoczaków. Ale gdzie? — to powiedziano dopiero w samolocie. Leningrad! Gdy to usłyszałem, przeleciał mi po skórze dreszcz. Słyszałem przecież, co się tam dzieje, wiedziałem o bohaterskiej obronie i o strasznych warunkach życia w tym mieście, obłożonym już prawie dwa lata. Co nas tam czeka? — myślałem z niepokojem.

Skończyłem w noc. Szukaliśmy się w mroku, nie wszyscy się znaleźli. Ale zadanie trzeba było wykonywać. Więc wykonywaliśmy! Paru naszych padło.

Leningrad w dniach blokady... Dziwiłem się; mówiono nam o głodzie, a tu ludzie wyglądają dobrze, powiedzielibyśmy — dostatnio. Twarze pełne. A potem patrzę: jeden i drugi przewraca się na ulicy i nie wstaje. I wtedy zrozumiałem; oni byli opuchnięci z głodu! Tak, w Leningradzie

Lenino. Gdy usłyszeliśmy: *Chłopcy, naprzód! Stąd najkrótsza droga do Ojczyzny!* — to ruszyliśmy na oślep, w grad niemieckich pocisków wszystkich rodzajów broni. Najgorsze były bomby. To nie przenosiła, że ziemia unosiła się do nieba. Wrzasa. Nie wiedziałem, gdzie góra, gdzie dół. W drugim dniu walk, pod wsią Trygubowa, zostałem ciężko ranny. W obie nogi i łopatkę. Do stałem się w łapy Niemców. Rozbroili, zaczęli wy-pytywać. Ale nasi znów poszli do szturmu. W pewnej chwili ziemia tak mnie przysypała, że tylko głowa w helmie sterczała na powierzchni. Ktoś — do dziś nie wiem kto — musiał kopnąć ten helm, spojrzal i wrzasnął: *Jędręk, rany Boskie!*

Przez dwa dni i dwie noce czekałem na ewakuację. Potem do noszy zaprzężono psy i one wyciągnęły mnie za pierwszą linię. A potem długo jechałem pociągiem sanitarnym na wschód, aż na Ural. W miasteczku Kiziel, bardzo przypominającym Sącz, troskliwie zaopiekowała się mną rodzina Kozłowskich, których córka była szpitalną dentystką. Mieszkali tam od 1914 roku. Rozstawaliśmy się z prawdziwym żalem.

W kwietniu czterdziestego czwartego znalazłem się znów w wojsku, w Zytomierzu. Stamtąd, żołnierskim szlakiem, powędrowałem na zachód.

Dwa razy podchodziłem pod Warszawę. Pierwszy — kiedy próbowałem przyjść z pomocą walczącym na lewym brzegu Wisły powstańcom. Do dziś czuję tamten skurcz gardła, gdy patrzyłem na łuny nad stolicą. A potem styczeń czterdziestego piątego. O Boże! To miało być miasto? Któż mógł uwierzyć, że jeszcze ożyje? To miasto, które zawsze chciałem zobaczyć — teraz nie istniało!

Po ofensywie styczniowej walczyłem na Wale Pomorskim i o Kolobrzeg. Jak strasznie iść prosto z marszu do natarcia! Ścielił mi się faszynę na bagnach, bo wszystkie twarde drogi były przez Niemców tak bronione, zaminowane, wzięte w krzyżowy ogień, że nie sposób byłoby się nimi przedrzeć. Nasze ataki rozbiły się jak o skały. Napatrzyłem się wówczas na ludzkie nieszczęście. Jako kierowca studebackera dowodziłem zaopatrzenie na pierwszą linię, a stamtąd zabierałem rannych. Po Kolobrzegu już żadna walka nie wydawała mi się tak trudna, tak zmasowana, tak uciążliwa...

Wyszliśmy nad morze. Szare, nie takie z pocztówek „pozdrowienia z wakacji”. A przecież za ten szum warto było tyle znieść.

Około osiemdziesięciu kilometrów przed Berlinem łapaliśmy „drugi oddech”, potem pokonywaliśmy ten przekłęty Kanał Hohenzollernów, który wszedł do historii jako ostatnia zapora na drodze ku stolicy hitlerowskiej III Rzeszy. Wreszcie — przedmieścia Berlina. *Jędręk — mówiłem sobie — rozumiesz, Jędręk, jesteś w Berlinie! Pognałeś ich aż tu! Gmach Politechniki czerniał przed nami, Niemcy prali z dział, miny wybuchały pod nogami, barykady wydawały się za wysokie do pokonania, dwa razy przeżyliśmy nalot — zanim udało nam się przeskoczyć skrzyżowanie dwóch szerokich ulic. I naraz: cisza! Nieprawdopodobna, choć przecież spodziewana, wiadomość: hitlerowcy skapitulowali! Nie wiedziałem, czy szaleć z radości, czy skryć się gdzieś w osłupieniu, żeby to spokojnie przemyśleć, żeby to pojąć: koniec wojny!*

Nie było jednak dla mnie jeszcze końca wojny. Prawda, wróciłem do Sącza, miałem — jak trzeba — dokumenty, że zakończyłem wojaczkę, lecz już po paru dniach musiałem jechać do Krakowa, znów sięść za kierownicą studebackera i — na Białostoczną. Dziś mówi się: „utrwalanie władzy ludowej”, „walka z reakcyjnym podziemiem”. Ale był to czas najbardziej bolesny. Zakończyłem swoje rachunki z Niemcami i przyszło mi walczyć przeciw swoim, Polakom...

16 marca 1946 roku otrzymałem dokument demobilizacyjny. I naraz okazało się, że nie wiem, jak mam żyć normalnie. Patrzyłem, podglądałem, jak ze sobą obcuje ludzie, jak pracują, jak się bawią. Czulem, że zdzielałem przez lata walki. Przeszkadzało mi to, duży jak za ciasna koszula. W tym okresie poznałem Adolfa Grenia, byłego więźnia Oświęcimia, i on właśnie pomógł mi wejść w normalne, pokojowe życie.

Pracę znalazłem w ZNTK; pracowałem tam do emerytury. W Zakładach spotkałem więźniarkę z Ravensbrück, Józefę Kalisz. Oboje tęskniłiśmy do zrywającego domu, rodziny. Zdecydowaliśmy, że wspólnie będzie nam łatwiej. Dobra to była decyzja. Dziś mamy troje dorosłych dzieci, mamy wnuki, które są moją największą miłością. Ale żyję nie tylko domem. Chyba od Grenia zaraziłem się potrzebą działania społecznego. A kiedy raz, drugi, wybrano mnie do różnych władz — byłem przez 12 lat sekretarzem organizacji partyjnej, przez dwie kadencje zastępcą przewodniczącego Rady Zakładowej, przez cztery lata jej sekretarzem, prawie dwadzieścia lat przewodniczącym komisji mieszkaniowej — kiedy brałem w swe ręce ludzkie losy, czasem bardzo trudne, wiedziałem, że nie mogę zawięść tego wielkiego zaufania i miałem satysfakcję, że śpiam dłużej.

Działam w ZBoWiD-zie, w Związku Inwalidów Wojennych. Spotykam się z młodzieżą, opowiadam jej o tym, jak układały się losy nie tylko moje, ale w ogóle losy nasze: żołnierzy-tulaczy, żołnierzy-zwycięzców. I tak bardzo chciałbym, aby ci młodzi ludzie umieli wnieść ze szkół, z rodzinnych domów równie wielką jak nasza miłość do Ojczyzny. Bo myślę, że przede wszystkim dzięki temu, iż nas od dziecka uczono patriotyzmu, zdołaliśmy wykrzesać z siebie tyle sił i tyle odwagi, by na przekór wszystkiemu iść — wszystkimi wojennymi szlakami — ku wolnej Polsce.

Po raz pierwszy na polskiej ziemi przebywałem w latach II wojny światowej, jako żołnierz Armii Radzieckiej. Było to w pierwszych dniach września 1944 r. Nasza 167 Sumsko-Kijowska, dwukrotnie odznaczona Czerwonym Sztandarem dywizja wchodząca w skład Pierwszej Gwardyjskiej Armii, którą dowodził ówczesny pułkownik — obecnie w stanie spoczynku marszałek Związku Radzieckiego — Andrzej Antonowicz Greczko, zajęła stanowiska w okolicach miasta Sanoka, a następnie przeszła do ostatecznego natarcia w kierunku południowym. Najcięższe i najzacieklejsze boje musieliśmy toczyć w trudnym, górzysto-lesistym terenie Karpat. W pierwszym dniu walki o Wielkie Stróże i Niebieszczyzny zginęli m. in. dowódca dział przeciwpancernych dywizjonu, cpt. Goriaczew i dowódca baterii, st. lejtn. Łyban. Ale już nic nie mogło powstrzymać ataku naszych żołnierzy.

W styczniu 1945 roku, po wyzwoleniu czechosłowackich miast Koszyce i Preszow, nasza Pierwsza Gwardyjska wróciła na ziemię polską, na tereny ówczesnych powiatów nowosądeckiego, nowotarskiego i bielskiego. Nocą z 28 na 29 stycznia 1945 r. pułki tej dywizji, łamiąc opór Niemców w rejonie Łopusznej, opanowały Nowy Targ. Za tę akcję Moskwa oddała nam salut honorowy 12 salwami artyleryjskimi ze 124 dział.

Wspominając boje o wyzwolenie Polski, nie mogę nie wspomnieć o pomocy, jakiej bardzo często udzielała nam ludność wyzwolanych rejonów. Jedni zgłaszali się na przewodników i przeprowadzali nasze oddziały, a inni przynosili amunicję albo pomagali w staniu czy naprawie mostów i dróg. Kobiety szły nam, prały bieliznę, czyściły mundury, mężczyźni naprawiali uzbrojenie.

Po wojnie trzykrotnie odwiedzałem Polskę. Podczas pierwszej podróży, w 1965 r. przebywałem w Lublinie, Warszawie, Wrocławiu, Krakowie, Katowicach i Oświęcimiu. Z radością obserwowałem, jak naród polski potrafił z ruin odbudować swój kraj. Z dużym zainteresowaniem oglądałem historycz-

Piotr Jewstafiewicz Wdowin

MOJE SPOTKANIA Z POLSKĄ

(korespondencja z ZSRR)

ne osobliwości Starego Krakowa (Wawel, Sukiennice) i inne pomniki architektury i historii. Odczuwalem dumę, że wojskom I Frontu Ukraińskiego pod dowództwem marszałka Koniewa udało się uratować to piękne miasto od zniszczenia. Ze zgrozą stąpałem po terenie byłego obozu śmierci w Oświęcimiu, z bólem patrzyłem na to piekło na ziemi, jakie człowiek stworzył dla zwierząt: na krematoria, komory gazowe, pomieszczenia, w których przeprowadzano straszne „medyczne” eksperymenty na kobietach, na wysoki mur, pod którym rozstrzelano tysiące więźniów.

Szczególnie serdecznie wspominam pobyty na ziemi nowotarskiej, zimą i latem 1975 roku. Obyłem wówczas wiele miłych spotkań z uczniami szkół numer 2 i 5 oraz szkoły specjalnej w Nowym Targu, szkoły-sanatorium w Rabce, Technikum Gastronomicznego w Suchoj Beskidzkiej. Spotkałem się z harcerzami i uczniami wycieczkowymi w Nowym Targu i Szczawnicy, z pracownikami Nowotarskich Zakładów Przemysłu Skórzanego, „Cepelii” w Krościenku oraz z mieszkańcami wsi Łopuszna. Właśnie w Łopusznej przeżyłem wzruszający moment: podszedł do mnie mieszkaniec tej miejscowości, Ludwik Łojas, w którego domu kwaterowałem w dniach wojny razem ze swoim sztabem. Nie ominąłem Lipnicy Wielkiej, opodal której w pierwszych

dniah lutego 1945 r. nasz 615 pułk strzelców był przez dwie doby okrążony, prowadził zaciekle boje, ale utrzymał zajęte pozycje. W Kluskowcach jeden z mieszkańców, Iwan Grzeszon, opowiadał, jak nocą z 25 na 26 stycznia 45 r. do wsi zajętej przez Niemców przedarł się w przebraniu miejscowego górala radziecki zwiadowca i rozpoznawszy pozycje Niemców poprowadził swój oddział drogą, której hitlerowcy nie obstawili. Dzięki temu manewrowi Kluskowce zostały wyzwolone szybko i bez większych strat.

Szczególnie wryły mi się w pamięć spotkania z nauczycielami i uczniami nowotarskiej szkoły podstawowej nr 5, z którymi od dłuższego czasu korespondowałem. W szkole tej został zorganizowany kącik „Ślawa bojowa 167 dywizji strzelców”, w którym znalazłem cenne dla mnie pamiątki naszych walk na polskiej ziemi.

Wzruszające były spotkania z weteranami II wojny światowej, mieszkańcami obecnie w Nowym Targu. Żołnierze 6 dywizji Wojska Polskiego Roman Czartkowski, Ignacy Nowak i inni wspominali dni tworzenia się ich jednostki w moim mieście — w Sumach, w rejonie Prisyzywa i Baranówki. Mówili o serdeczności i przyjaźni, z jakimi odnosił się do nich mieszkańcy Sum. Polskich przyjaciół interesowa-

wały zmiany, jakie zaszły w Sumach i musialem wiele im opowiadać.

Podczas wszystkich spotkań, a szczególnie spotkań z młodzieżą, mówiąc o walce narodów polskiego i radzieckiego z faszystowskim najeźdźcą szczególną uwagę zwracałem na ciężkie, okrutne walki, jakie musieliśmy toczyć przy wyzwaniu naszych ziem, Ziemię tę, a wśród nich i nowotarską — mówiłem — obficie zlane są krwią radzieckich żołnierzy. Tysiące oddały jej swoje życie. W wielu mogiłach spoczywają prochy tych, którzy tutaj zginęli: w Nowym Targu — 1227 ludzi, w Lipnicy Wielkiej — 649, w Rabce 351. A ileż jest takich grobów na terenie całej Polski! Jeśli dobrze zastanowić się nad podanymi liczbami, łatwiej zrozumieć, jak wielka była cena wolności. A iluż ludzi unicestwili hitlerowscy zbrodniarze w obozach śmierci, stworzonych na polskiej ziemi? Miliony! Tak, wysoka jest cena zwycięstwa!

Podczas jednego z pobytów w Polsce przebywałem na kuracji w kardiologicznym sanatorium „Pałac” w Rabce. Spotkałem się tam z (nieżyjącym już dziś) pułkownikiem Pierminowem, który w 1944 roku był zastępcą dowódcy zwiadowców działającego na terenie Podhala partyzanckiego oddziału Iwana Zolotara. Razem uczestniczyliśmy w spotkaniu z partyzantami polskimi, które odbyło się w domu Anny Fanfarowej, zwanej „matką partyzantów”. Jej mąż oraz córki Agnieszka, Bronisława i Stefania dostarczali do oddziałów żywność i pomagali w utrzymywaniu łączności z partyzantami polskimi. Mąż Anny za tę współpracę z radzieckimi partyzantami został zamordowany przez reakcyjne podziemie polskie.

Po dwukrotnym pobycie na ziemi polskiej zyskałem tu wielu przyjaciół — w Krakowie, Nowym Targu, Rzeszowie, Krośnie, Rabce, Nowym Sączu, Suchoj Beskidzkiej i Szczawnicy. Utrzymuję z nimi kontakty, wymieniamy listy, upominki. I zawsze gdy wracam do swego kraju, spotykam się z naszymi uczniami i pracownikami, i opowiadam im o swoich polskich podróżach, o polskich przyjaciółach — o Polsce.

Był piękny jesienny dzień 1939 roku. Wojtus od Mardułów pasł jak zwykle owce na jednej z tatrzańskich hal. Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy zauważył kilku mężczyzn zbliżających się do granicy. Widział ich z daleka, bo powietrze po przelotnym deszczu było jasne i przezroczyste. Wprawdzie po dolinach tu i ówdzie snuła się lekka mgła, ale góry były klarowne, bliskie, mieniły się na przemian to w błękitnych, to w jaskrawych, złotych blaskach wrześniowego słońca.

— To chyba pan Broniek wraca do kraju znowu z jakimiś ważnymi osobami — mruknął pod nosem, rozglądając się nerwowo w kolo. Potem pobiegł na pobliskie wzgórze, z którego spodziewał się więcej zobaczyć. Wdrapawszy się ostatkiem sił na wierzchołek wznoszącego się nad kosodrzewiną głazu, wciągnął kilka razy głęboko powietrze, po czym otarł rękawem pot z czoła. A kiedy wreszcie poczuł się pewniej na odmawiających posłuszeństwa nogach, począł się szybko, niespokojnie rozglądać po okolicznych dolinach i szczytach. Nie zauważył chyba jednak nic podejrzanego, bo wkrótce ruchy jego stały się powolniejsze.

Tymczasem mężczyźni przeszli spokojnie granicę. Wojtus zobaczył ich znów, kiedy wyszli z zarośli, cali spowici złotem, aby po chwili wahania wsunąć się chyłkiem do kolidy na Kondratowej.

Chłopiec z dłonią podniesioną do oczu przez cały ten czas przyglądał się im uważnie, ale nie rozpoznał pana Bronka ani nikogo ze znajomych. Poczł się więc zawiedziony i zarazem zdziwiony.

— Eej, to chyba jakieś cepy — skonstatował. — Albo przemytnicy, którzy dobrze znają tatrzańskie chodniki. Pójdę ja lepiej za owcami. Nic tu po mnie, o hej! Kie ida, to niek se ta idom.

Zawrócił owce znad przepaści skalnej i spędził je do gromady. Następnie ustawił kierdel w najcieplejszym miejscu pastwiska i w należytym porządku, sam zaś usadowił się na kamieniu tak, by móc namowić szybko naprzód wysuwające się sztuki.

Owce teraz pasły się dobrze. Widząc przed sobą opiekuna, nie próbowały się wychylać z gromady, jedna drugiej wyprzedzać w pogoni za lepszą paszą.

Jednak Wojtus nie siedział długo. Najwyraźniej był jakiś niespokojny, smutny i zamysłony. Raz po raz przychodzili mu na myśl to idący do kraju mężczyźni, to znowu pan Broniek, z którym od miesiąca łączyła go szczególnie piękna przyjaźń i współpraca. Ilekroć pan Broniek szedł na Węgry, zawsze przychodził do Wojtka i pytał, czy nie widział w pobliżu grenszcutów. A potem, gdy się żegnał, prosił żeby w razie jakiegos niebezpieczeństwa Wojtus gwizdał albo ujął. Wtedy chłopca rozpięrała bezgraniczna dumna i radość, że może być w czymś pomocny powszechnie uwielbianemu



narciarzowi, człowiekowi, którego na ulicy wszyscy z daleka wolają i głęboko mu się klaniają. Oj, żeby to tu ja był już taki duży, stawy i scanowane — wzdychał żalostnie. — Walczyłbym jak mój wuj, albo sam przeprowadzał ludzi. Pan Broniek obiecał mnie wziąć na Węgry, ale później gdy urosnę. Ale czy nie zapomni? Nie zapomni, bo obiegał. A jak zapomni, to pójdę sam. Nie inaczej...

Nagle Wojtus otrząsnął się z zamyslenia, bo zdało się mu, że w pobliżu posłyszal jakieś głosy. Nadstawiał uszu. Lecz znikąd nie dochodził nawet najmniejszy szmer. I owce także się nie spłoszyły, dalej pasły się spokojnie, miarowo i wesolo tyrlakując dzwoneczkami. Może tylko pobliskie świerki szumiały teraz jakos tak żalostnie, ponuro, że aż przejął chłopca niezrozumiały lęk.

Słońce zawisło już nad grzbietami gór, ogniste, gorejące coraz silniej. Było może z godzinę do czasu, kiedy zwykle na noc spędzał kierdel w dolinie. Tesknota, smutek, jakieś nieokreślony żal musiały nadal wypełniać młodzieńcze serce Wojtusia, bo po chwili zaczął śpiewać juhaską pieśń:

Góralicek jo se,
w matym kapelusku,
stćko umiem rubić
ino pomalusku.

Ujął wesoło, donośnie, aż echo z trzaskiem poniosło się po lasach i dolinach. I już miał drugą piosenkę zaczynać, gdy nagle na skraj polany spostrzegł Niemców.

Grenszcutów było kilku, więcej niż zwykle. Szli w stronę granicy. Spostrzegłszy Wojtusia przystanęli, ale po chwili wahania ruszyli dalej.

Wojtus odetchnął z ulgą. Był niezmiernie rad, że Niemcy nie wyszli wprost na niego, lecz dwieście metrów niżej, i że szczególnie trafem uniknął ich obrzydliwych indagacji. Ale zarys w nową siłą ogarnął go niepokój.

— Bez co ich tak dużo idzie? ... I kany ida? ... — rozmyślał chłopiec z oczyma jeszcze wciąż utkwionymi w miejscu, gdzie za krzakami zniknęli straż-

(DALSZY CIĄG NA STR. 6)

Olgię Jędrzejczyk

Zakopiański czy narodowy?



Fot. WŁADYSŁAW WERNER

Sensacje zawsze skradają się cicho, zaś w wypadku książek przystrajają się w tytuły mało atrakcyjne, jak gdyby seryjne. Wydawnictwo Literackie dało nam część I listów Stanisława Witkiewicza i jego korespondentów w opracowaniu Marii Olszanieckiej i Anny Micińskiej. Ta część I nosi nazwę *Listy o stylu zakopiańskim 1892–1912 wokół Stanisława Witkiewicza*. Epistoły wstępem opatrzył, opracował, skomentował **MICHAŁ JAGIELLO**.

Jest to 750 stron sensacji, przyozdobionych 58 zdjęciami. Na czym polega owa sensacyjność? — zapyta ktoś. Przecież styl zakopiański to jest rzecz już dawno przetrawiona, opisana na dziesiątą stronę i to niezwykle kompetentnie przez samego twórcę tego stylu Stanisława Witkiewicza (ojca) chociażby w I i II zeszytach *Stylu zakopiańskiego*. Otóż sensacji upatrują w fakcie olbrzymiego nowrotu do sztuki ludowej we wszystkich dziedzinach działalności ludzkiej. Wystarczy się uważnie wokoło rozejrzeć: kramy ze świątkami obłożone są przez tłumy kupujących, meble ludowe lub nieudolnie naśladowujące sprzęty z wyposażenia chłopskiej chałupy znajdują chętnych nabywców, coraz więcej podąża wpływa do wydziałów budownictwa i architektury (używam starej nazwy, bo jest sensowniej) dla wydania pozwoleń wznoszenia domów drewnianych, na chłopską modę. I skąd się to wszystko bierze?

Mądrzy ludzie powiadają, że jest to reakcja na bezduszną, pozbawioną zamyślenia estetycznego architekturę wielkich bloków, że jest to obrona przed utratą oblicza, rodowodu. To prawda. Gdyby jednak nie było źródła tej sprawy, gdyby nie było właśnie stylu zakopiańskiego, który — czy ktoś chce czy nie chce — stworzył Stanisław Witkiewicz, nie mielibyśmy skąd czerpać tych wzorów. Nowe domy stawiane w Zakopanem współcześnie przy ul. Kościeliskiej — to chałupki w zamyśle bardzo witkiewiczowskie, wykorzystujące ornamentykę tak silnie skoncentrowaną przez znakomitego artystę w jego dawnych projektach. Kilkanaście kilometrów dalej w Chochołowie, najpiękniejszej polskiej drewnianej wsi góralskiej, zaden właściwie dom nie przypomina tych pomysłów. Każda chałupa jest bardzo funkcjonalna, ozdób w niej niewiele, linia architektoniczna zachwyca nieklamana, niepodrabiana prostotą.

Dopiero porównanie tych ozdóbności zakopiańskich ze zgrzebną prawdziwą w Chochołowie uprzytomnia nam, ile w tych pomysłach sprzed lat było pomysłów literackich, ile było tam drobiazgowości, nawet nasycenia nadmiernego snycerskimi zabawami.

Warto więc bliżej zapoznać się z naszą księgą, chociażby dla ustalenia pewnych faktów, które Michał Jagiello stara się uporządkować.

Stanisław Witkiewicz, mieszkanie Zakopanego i miłośnik polskich Tatr w książkowym wydaniu szkiców literacko-tatrzańskich *Na przelęczy* (w 1891 r.) powie, że góralska chałupa jest wyższym typem drzewnego budownictwa — jest samodzielnym, oryginalnym stylem, wyrażającym się we właściwym charakterze linii.

Te słowa sprzed 90 laty są dla mnie dzisiaj dowodem walki z zalewem tandetnej tyrolszczyzny, walki z naporem niemiecko-austriacko-węgierskich pomysłów secesyjnych, z kosmopolityzmem. Do dziś dnia Zakopane liczy jeszcze kilkadziesiąt wspaniałych zabytków polskiej myśli architektonicznej; „Dom pod Jedlami”, kapliczka na Jaszczurówce, nawet gmach Muzeum Tatrzańkiego to są owe odrębności już przez świadomego artystę opracowane dostatecznie wyraźnie. Ale można je było uznać za zgodne ze stylem zakopiańskim. Jego strzelistość, połączenie rzeźbiarskiej ozdoby z rozbudową chałup do rozmiarów willi, siedzisk bogatych nie tylko było obliczone na ziemian i snobów, którzy zresztą — jak wynika z księgi listów — zgłaszali się dość tłumnie do Witkiewicza z prośbą o plany, szkice, wskazówki itd. Sam Witkiewicz przecież myślał o tym, że rozwój ruchu turystycznego, napływ nizinnych „gości” musi się gdzie zmieścić. No, ale sprawa przed laty przekroczyła granice Zakopanego, Podhala, południa Polski i ogarnęła cały kraj. Nie zapominajmy też, że Witkiewicz walczył o styl zakopiański w budownictwie, sprzętach, ozdobach w bardzo konkretnym momencie historycznym, kiedy walka z podstępny zaborcą w trzech częściach zniewolonej Polski była bardzo oczywistym wymogiem postawy politycznej. Żadne tu pogadywania o nacjonalizmie Stanisława Witkiewicza nie wytrzymują próby czasu, jeśli się zważy, czym była tragedia dzieci wrzesińskich, jak walczył o swą świadomość narodową bohater *Szyjowych prac* Zeromskiego, jak wiele uwagi wszystkie partie polskiej lewicy przywiązywały w swych programach do kwestii niepodległości Polski. Po prostu Witkiewicz był człowiekiem swojej epoki popowstaniowej; Tytus Chałubiński, twórca źródła zakopiańskiego i idei tatrzańskich był powstańcem; górale chochołowscy też z określonych przyczyn dali się w połowie wieku XIX porwać hasłom patriotycznym — i już! Do tego wszystkiego Zakopane w latach, ograniczonych datami listów o stylu zakopiańskim 1892–1912 było prawdziwym centrum polskiego życia kulturalnego. Bez reszty, do końca utwierdza nas w tym lektura tej książki, w której przypisy stanowią prawdziwą, olbrzymią kronikę Zakopanego.

Do Stanisława Witkiewicza pisali m. in. o stylu zakopiańskim Stanisław Eliasz Radzikowski, Jan Gwałbert Pawlikowski, Franciszek Mącznyński — by wymienić tylko lekarza, artystę malarza, historyka i etnografa, znanego góralszczyznę i mecenasa bogatego oraz świętego architekta. Czy biogramy tych osób, zamieszczone w przypisach przez Michała Jagiello nie wystarczą za całą epokę?

Ale prawdę powiedziano nie one stanowią o różnych anegdotycznych smaczkach ciekawych bardzo korespondencji do Witkiewicza i jego listów do wielu osobistości. Do Witkiewicza pisali Ludwik Rydygier — profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego czy Władysław Ekielski — architekt, rysownik, nauczyciel Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Wysłałi swoje epistoły również inni: Bohdan Broniewski — cukrownik przemysłowiec, Aleksander Klimaszewski kierownik Krajowej Szkoły Garnarskiej w Kolomyży, adwokat Michał Junowicz z Kowna, Jerzy Warchałowski — współorganizator Towarzystwa „Polska Sztuka Stosowana”, Michał Żmigrodzki — kustosz Biblioteki Branickich w Suchej. Ze wszystkich stron płynęły do Zakopanego listy, zaś Stanisław Witkiewicz dwioli się i troili, wysyłał szkice, proponował, pracował — jak wspomina Wojciech Brzega, góralski artysta — bezinteresownie.

Rodzi się teraz pytanie, czy Stanisław Witkiewicz nie przekroczył granicy stylizacji, czy istnieje taka granica?

Sprawa jest bardziej skomplikowana, niż by się wydawało na pierwszy rzut oka. Ze stylem zakopiańskim jest mniej więcej tak, jak z ludowością „Mazowsza” i „Słaska”. Nikt przecież nie powie, że te zespoły nie są ensemblami ludowymi. Ale układ tańców, wymuskane, bardzo „prawidłowe” kostiumy z ludowością właściwie niewiele wspólnego mają. Na kanwie motywów muzycznych i strojów stworzono wielkie dzieło sztuki. Owszem — inspiracją była sztuka ludowa.

Lud polski wytworzył bardzo określoną obrzędowość, i nędzne naśladowanie chłopów w konkursach na palmę, na pisanek, na obraz na szkle itd. budzi współcześnie uzasadnioną wesołość, by nie powiedzieć pobłażania. Tylko, że od tego się nie oddalamy. Stylizacja jest rodzajem upowszechnienia określonej idei plastycznej, zdobniczej, architektonicznej. I jeśli robi to taki artysta jak Stanisław Witkiewicz, można mieć nadzieję, że sprawa nie nabierze wymiarów kiczu.

Mimo iż Michał Jagiello właściwie zamyka w swym posłowie sprawę stylu zakopiańskiego, jest ona w jakimś sensie ciągle otwarta. Jest to w gruncie rzeczy ciągła dążność człowieka do oryginalności i odrębności. Nie ma już dzisiaj jakichś bogatych mecenasów — ziemian, Pawlikowskich, Zamojskich, Potockich, Gmachy użyteczności publicznej nawet pod Tatrami — to budynki o prostej linii, bardzo nowoczesne, betonowe, stalowe, aluminiowe. Ale niech no tylko jakaś restauracyjka, knajpka, kawiarenka powstanie, zaraz jej właściciel „Koliba” ją nazwie, nabija drewnianych ćwieków w drzwi i odrzwia, nawiesz nad zynkwosem z ekspresem do kawy obrazków malowanych na szkle. Czy to jest tylko stylizacja? Czy umarł już styl zakopiański? Czy nikt już nie buduje po witkiewiczowsku?

Ośmielam się twierdzić, że ta sprawa żyje i oczekuje swiego kronikarza. Mógłby się np. stać nim Michał Jagiello.



W dniach 28 i 29 marca br. odbyła się w Nowym Sączu sesja naukowa, zorganizowana przez krakowską Wyższą Szkołę Pedagogiczną i nowosądecki Urząd Wojewódzki. Temat spotkania sformułowano następująco: **Kultura Sądecka — Sądeckość w kulturze Polski Ludowej**. Program obejmował dziesięć referatów stanowiących próbę rejestracji, a zarazem oceny bogactwa inicjatyw, źródeł, żywności i autentyczności oraz złożoności kulturowej Sądeckość, a także próbę wskazania, jak i na ile te wartości służą i powinny służyć tworzeniu i rozwijaniu kultury socjalistycznej.

Obrazy sesji poprzedziła tzw. „Biesiada literacka”, czyli spotkania z pisarzami związanymi z ziemią sądecką, zaś Biblioteka Wojewódzka przygotowała interesującą ekspozycję pn. „Sądeckość w literaturze”.

Wśród problemów, wokół których koncentrowały się referaty i głosy w dyskusji, najwięcej uwagi poświęcono sprawom udziału Sądeckość w życiu literackim kraju i w przemianach języka polskiego. Prof. dr hab. Stanisław Burkot (z Instytutu Filologii Polskiej WSP Kraków) wygłosił referat pt. „Sądeckość w poezji powojennej”, dr Edward Chudziński (z tegoż Instytutu) — „Sądeckie aspiracje do literatury”, a prof. dr hab. Eugeniusz Pawłowski — „Zmiany w języku potocznym Nowego Sącza i w gwarałach sądeckich”. Mowa więc była o wpływie sądeckiego krajobrazu i kultury na treści i formy literatury narodowej, o inspiracjach, o fascynacji Sądeckość, jej folklorem, zarówno w pierwszych latach powojennych, jak i obecnie (np. Grupa „Tylciz”). Mówiono o tradycjach literackich ziemi sądeckiej i o potrzebie szerszego niż dotychczas sięgania do naturalnego zaplecza, jakie stanowią twórcy ludowi. Wskazywano na tendencję do zanikania gwar, choć podkreślano — jako cechę zmienną — że szczególnie na Podhalu proces ten przebiega wolniej niż na innych ziemiach polskich, bo tu w ogóle jest większy szacunek do tradycji.

Szczególnymi przykładami tematu sądeckiego w piśmiennictwie są „Rocznik Sądecki”, o którym mówił doc. dr hab. Tomasz Goban-Klas (Ośrodek Badań Prasoznawczych Kraków), a także polski reportaż prasowy, któremu swój referat poświęcił dr Maciej Chranzowski (z tego samego Ośrodka).

Odrębne miejsce w tematach sesji znalazły badania etnograficzne z Pracowni Etnograficznej PAN z Krakowa. Dr Anna Kowalska-Lewicka zajęła się pasterstwem górskim Beskidu Sądeckiego, a dr Krystyna Kwaśniewicz tradycją i współczesnością w zachowaniach kulturowych mieszkańców Ziemi Sądeckiej.

Nie sposób wyobrazić sobie spotkania poświęcone problemom sądeckiej kultury bez zaprezentowania interesujących i nowatorskich w skali kraju sądeckich inicjatyw społeczno-kulturowych. Mówiły o nich mgr Zofia Józefowicz (z Instytutu Filozofii i Socjologii PAN Warszawa) oraz Alicja Derkowska — przedstawicielka sądeckiej Społecznej Rady Kultury.

W krótkim artykule można jedynie zaszyfrować poszczególne wypowiedzi — na szczęście organizatorzy planują wydanie drukiem całości materiałów sesji. Ze względu na wagę problemów należy też mieć nadzieję, że nie było to ostatnie tego rodzaju spotkanie.

(EG)



Czeka cię długa podróż

Antoni Kroh

BEZ RETUSZU



Ulica Lwowska w Nowym Sączu



Zaopatrzenie schroniska w Dolinie Pięciu Stawów Spiskich



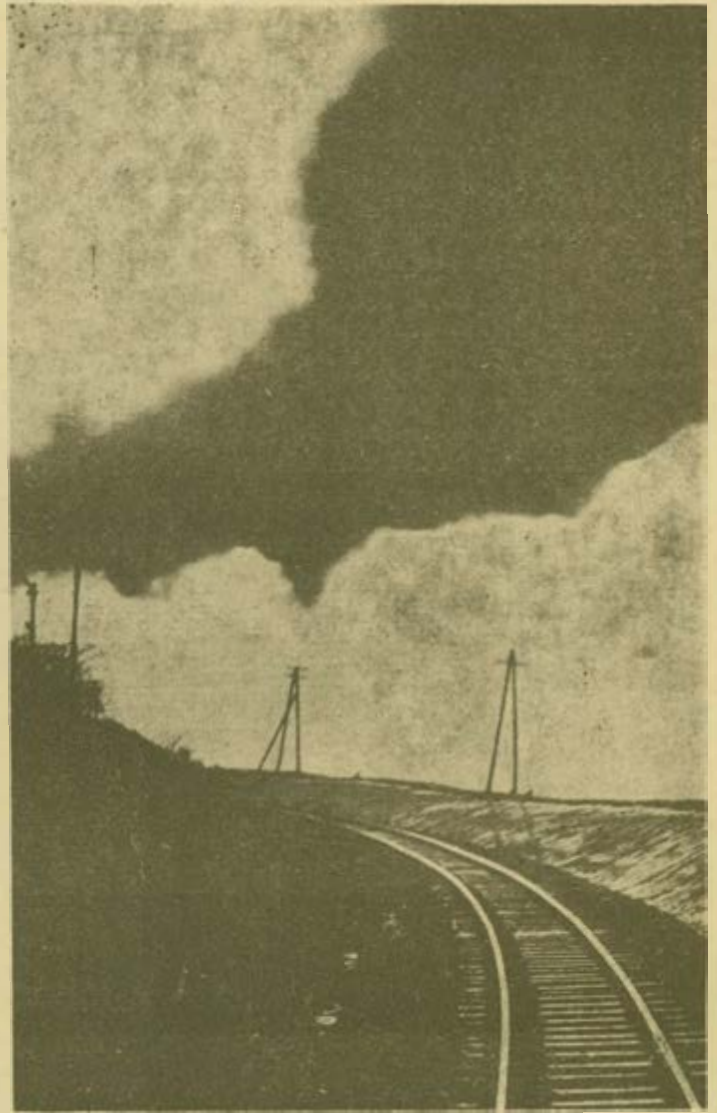
Niedziela



Rodowa kapliczka



Portret Stanisława Miki, rzeźbiarza z Paszyna



Osobowy do Chabówki



Moje środowisko naturalne



Wiele szczęścia na nowej drodze życia



„Orkanówka” w Porębie Wielkiej i pomnik Władysława Orkana w Nowym Targu



Zdjęcia STANISŁAW ŚMIERCIAK

WŁADYSŁAWA ORKANA

w ramkę „Dyplom Podchorążego 4 Pułku Piechoty Legionowej”.

Wróciliśmy na szlak obok kapliczki, którą postawiono — jak wieść głosi — z inicjatywy matki pisarza, i udaliśmy się w dalszą drogę dość uciążliwą ze względu na znaczne podejścia, przez rezerwat przyrody na Kopieńcu zwany „Puszczą Orkana” (las bukowo-świerkowo-jodłowy o gęstym podszyciu, z licznymi wykrótami i wiatrolomami!), aby pod wieczór dojść wreszcie do schroniska na skraju Długiej Polany pod Turbaczem. Drewniana tablica, umieszczona na zewnętrznej stronie budynku, umieszczona na zewnętrznej stronie budynku Władysława Orkana”.

Trzecie z kolei na Turbaczu schronisko turystyczne, noszące imię piewcy Gorców i „Trubaca”, jest obszerne i nowoczesne. Młodzież miała nawet możliwość oglądnięcia meczu piłki nożnej w telewizorze na miejscu. Takie czasy!

Nazajutrz przy pięknej słonecznej pogodzie wyruszyliśmy dość wcześnie szlakiem „czerwonym” w kierunku zachodnim, wyszliśmy na szczyt Turbacza (1310 m npm.) i przez Stare Wierchy, gdzie zrobiliśmy dłuższy odpoczynek, doszliśmy do Rabki Zdroju. Tu zwiedziliśmy m. in. Muzeum im. Władysława Orkana u zbiegu ul. Orkana i Sądeckiej, znajdujące się w XVIII-wiecznej Wieży zabytkowego drewnianego kościółka z polichromią w stylu rokoka. Widzieliśmy tam fotograficzny portret pisarza, gipsowy portret matki Orkana oraz 2 obrazy przezeń malowane, przedstawiające pejzaże górskie. Popołudniowym pociągami wróciliśmy do Sącza.

Jesienią tego samego roku młodzież ta, już wtedy z klasy 4c, w ramach jednodniowej autokarowej wycieczki „Szlakiem pisarzy podhalańskich” miała możliwość uzupełnienia swoich wiadomości, poznając dalsze „ślady Orkana”.

Pod pomnikiem Orkana w Nowym Targu przypominałem młodzieży, że Orkan uczył się do gimnazjum im. św. Jacka w Krakowie, a chociaż matura nie zdawał, został literatem młodopolskim, poetą, nowelistą, powieściopisarzem i dramaturgiem, a także wybitnym publicystą i działaczem kultury regionu podhalańskiego. Mieszkał na przemian w Krakowie i w Porębie, odbywał podróże m. in. do Włoch, z których jedną opisał Jan Wiktor w książce pt. „Podróż po słońce — Wspomnienia o Wład. Orkanie”.

Dowiadujemy się z niej, że Orkan ożenił się po wtórnie, bo właśnie z żoną Bronisławą F. odbywał te podróże, pochodziła ona z tzw. wyższej sfery towarzyskiej i prawdopodobnie małżeństwo to nie było szczęśliwe, skoro o nim biografowie nie wspominają. Orkan zmarł na udar serca w Krakowie dnia 14 maja 1930 r. w 55 roku życia, pochowany został na Cmentarzu Rakowickim, ale zwłoki zostały później przewiezione i złożone na Cmentarzu Zasłużonych w Zakopanem.

Pomnik pisarza w Nowym Targu, przed którym zatrzymaliśmy się, ufundowany przez górali-emigrantów ze Stanów Zjednoczonych miał dwa odsłonięcia, a ponieważ brałem w nich udział, mogłem przekazać młodzieży moje wspomnienia-wrażenia z tych uroczystości.

W niedzielę 8 lipca 1934 roku w godzinach

przedpołudniowych zebrały się tłumy ludzi na placu Słowackiego w Nowym Targu, wśród nich barwne delegacje ziem górskich i podgórskich, a przedstawiciel wojewody krakowskiego dokonał odsłonięcia pomnika Władysława Orkana. Dla bliżej stojących było to niezapomnianym przeżyciem, albowiem mogli widzieć w oczach matki pisarza, uczestniczącej w tej uroczystości 88-letniej starszki, lzy głębokiego wzruszenia.

Dnia 28 maja 1950 r. z okazji Święta Ludowego odbyło się drugie odsłonięcie tego samego pomnika (który górale dobrze ukryli w czasie okupacji!) już na Rynku, w obecności wielotysięcznego barwnego tłumu, przy udziale ministra kultury i sztuki oraz innych oficjeli szczebla centralnego, co było widomym znakiem, że Władysław Orkan, którego twórczość kiedyś bardzo wysoko oceniał nestor polskich marksistów dr Julian Marchlewski, awansował z pisarza regionalnego do rangi pisarza ogólnopolskiego.

W Poroninie dowiedzieliśmy się szczegółów dotyczących małżeństwa pisarza. W księgach parafialnych istnieje bowiem zapis:

„Franciszek Smreczyński, syn Macieja i Katarzyny Smreczak, lat 33, urodzony w Porębie Wielkiej, parafia Niedzwiedz i Maria Józefa Zwierzyska, córka Emiliana i Marii Grabowskiej, lat 27, urodzona w Drohobyczu, zawarli związek małżeński dnia 20 lutego 1909 roku. Świadcami ślubu byli: Jan Kasprzowicz — poeta i Tadeusz Pini — profesor.”

Po zwiedzeniu mauzoleum i muzeum Jana Kasprzowicza na Harendzie pojechaliśmy do Zakopanego, gdzie najpierw złożyliśmy wiązanek kwiatów na grobowcu Władysława Orkana, pisarza bliskiego sercom wszystkich sądeczan. Spoczął na zawsze w najbliższym sąsiedztwie legendowych postaci zakopiańskich: dr Tytusza Chałubińskiego, odkrywcy klimatycznych walorów Zakopanego przed 100 laty, zwanego „królem tatrzańskim”; Jana Krzeptowskiego z roku Gąsieniców Sabaly, sławnego ongiś żełarza i „Homera Podhala”; ks. Józefa Stolarczyka, pierwszego proboszcza Zakopanego i zdobywcy Garlucha; Jędrzeja Wali Bachledy, pierwszego przewodnika tatrzańskiego i wielu innych zasłużonych dla rozwoju Podhala ludzi, zarówno na polu kultury i turystyki, jak również ochrony zdrowia i sportu.

Elżbieta Glinka

Gdzie kucharek sześć...

Spokojny urok Szczawnicy-Krościenka poznaje się stopniowo, tak jak stopniowo odsłaniają się kolejne perły krajobrazu. Przeciętnego kuracjusza czy czasowicza wiodą tu dwie drogi. Jadąc od Nowego Targu dostrzega on białe skały Trzech Koron, potem przejeżdża rynecek Krościenka, mija most na szerokim tu, jakby niegórskim Dunajcu, by dać się urzec tej rzece tuż przed Szczawnicą, a wreszcie wznoszącą się uliczką dotrzeć w wąwóz między zielenią Parku Dolnego a czerniejącym masywem zawieszony nad dworcem PKS Palenicy za — niewidoczną stąd — strugą Grajcarka. Droga druga — ta od Sącza, od Szczawy — pozwala poznać urodę dunajeckich brzegów na długo przedtem, nim włączy się przed krościeńskim mostem w szosę nowotarską.

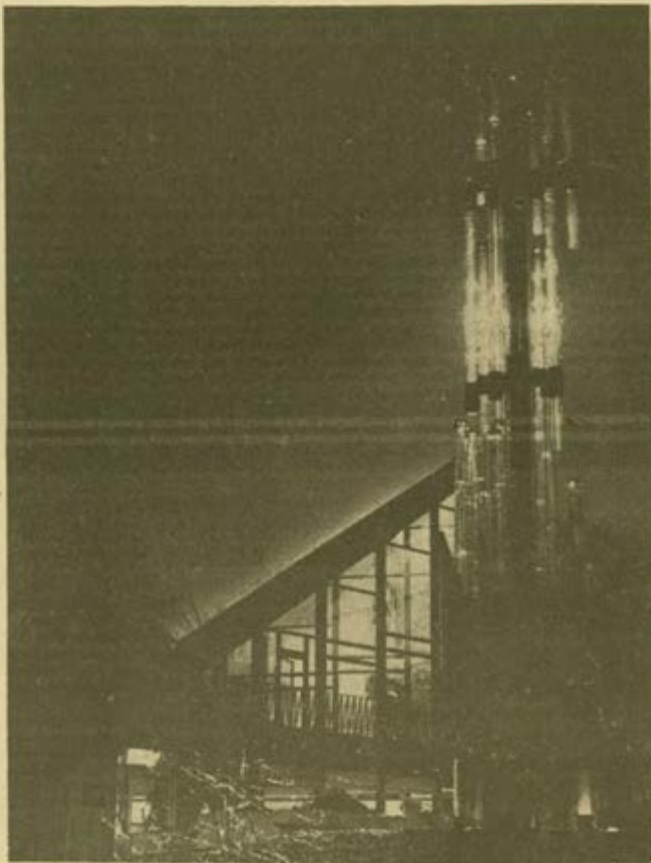
Niewysoka zabudowa, jeden ciąg komunikacyjny wywołują wrażenie pewnej senności, nawet w pełni sezonu, gdy przewalają się tędy tłumy ludzi.

Potem odkrywa się piękno Parku Zdrojowego, zwłaszcza Górnego, staroświecką krasę Placu Dietla, jeszcze potem — niezapomniane widoki na Pieniny, Małe Pieniny, na pasmo Radziejowej, nawet — na Tatry.

A przecież jest coś, co przeszkadza w pełni sycić się urokami uzdrowiska, co drażni, czasem — niepokoi. Jakaś dysharmonia, jakaś dostrzegalna nieporadność gospodarska, może niemożność? Coś, co nie zawsze sobie uświadomiamy, ale czego z pewnością mogłoby nie być...

Pierwszy raz odwiedziłam Szczawnicę w 1974 roku. Dziwnie zrobiła na mnie wrażenie. To co zobaczyłam przede wszystkim, to były... wykopki i wielkie ożywienie ludzi. Szczawnica spobita się do udziału w telewizyjnym „Banku Miast”, do rywalizacji z Wisłą. Te wykopki oraz wciążające się jedznie domy nie robiły miłego wrażenia. Ale wystarczyło wyjść trochę wyżej lub znaleźć się w Szlachtowej, Jaworkach — a już tamto wszystko traciło znaczenie, a ważna stawała się wszechobecna zielen, góry, niebo. Wystarczyło też porozmawiać z miejscowymi ludźmi, tak pełnymi entuzjazmu i wiary w zwycięstwo, by poczucie do nich sympatii. I dlatego zakochałam się w Szczawnicy, choć przedtem sądziłam, że nie może mi się tak podobać jak Tatry.

„Bank Miast” przeminął, Szczawnica wygrała — i odtąd obserwowałam ją w szacie bardziej codziennej. Bywałam tu kilka razy do roku i miałam wiele okazji do różnych spostrzeżeń i przemyśleń. Zyskałam tu wielu



Fot. PAWEŁ GRAWICZ

znajomych, którym dobro miasta leży autentycznie na sercu, i niejedną godzinę przegadaliśmy o sprawach uzdrowiska.

Zdecydowanie niekorzystnie odbija się na gospodarce i obliczu Szczawnicy-Krościenka, a zwłaszcza Szczawnicy, wyraźne rozdrobnienie kierowania jej sprawami pomiędzy wielu gestorów. Na przykład istniał dotychczas pewien specyficzny antagonizm (choć nikt się do tego nie chciał oficjalnie przyznać) między „uzdrowiskiem” a „miastem”. Tak się jakoś składało, że gospodarze miasta nie omieszkali wśród swoich kłopotów wskazać trudności... porozumienia się z dyrekcją uzdrowiska, zaś ta zaznaczała, że — niestety — nie może dogadnąć się z władzami. Rzadko mówiono to wprost, muszę nawet przyznać, że najczęściej opinie takie docierały do mnie przez osoby trzecie. Ze jednak nie ma dymu bez ognia, śmieć twier-

dzić, iż rzeczywiście brak było pełnego porozumienia w imię interesów mieszkańców, kuracjuszy, czasowiczów, turystów.

Nie ułatwia też z pewnością sytuacji fakt, że poszczególne domy czasowe i sanatoria podlegają różnym instytucjom i resortom i w związku z tym czują się trochę gośćmi na tym terenie — gośćmi, którzy wymagają od gospodarzy różnorodnych świadczeń dla siebie, a którzy w zbyt małym stopniu uczestniczą w niezbędnych inwestycjach komunalnych, handlowych, kulturalnych, troskę o nie pozostawiając „ojcom miasta”. Jedyne PP „Uzdrowisko Szczawnica” systematycznie i czynnie angażuje się w działania porządkowe (choć na swoim terenie) oraz przejawia troskę o funkcjonowanie instytucji kulturalnych (właśnie w pomieszczeniach Uzdrawiska znalazło skromne lokum Muzeum Pienińskie, a w Sali Malinowej odbywają się występy miejscowych zespołów regionalnych i artystów przyjezdnych). Jeśli zaś ktoś z sanatoriów resortowych lub domów czasowych nawet urządził np. wystawę, to dostępna ona jest „własnym” gościom.

ścię był zamknięty niż otwarty dla gości. A program tego MOK też mało kogo może zachęcić do odwiedzin.

Nie tylko domy czasowe i sanatoria obciążają miasto. Paradoksalne jest to, że sami mieszkańcy przyczyniają się w walnie do pogorszenia tej sytuacji. Jak? No cóż, nie trzeba chyba nikomu tłumaczyć, czym są tzw. „dzikie” kwatery. Zysk z nich czerpią jedynie właściciele pokoi — na jakże niewielu domach widziałam tabliczki wskazujące, że te kwatery są zarejestrowane, a tym samym że miasto choć częściowo ma rekompensowane nakłady — i materialne, i pozamaterialne — na każdego indywidualnego gościa. A każdy z nich potrzebuje wody, światła, chleba, mydła, biletu do kina i na PKS, chce kupić pamiątkę, rozjeżdża drogi, śmieci itp. Za darmo. To znaczy nie świadcząc na rzecz miasta, nie placąc żadnej, nawet symbolicznej kwoty na jego rozbudowę i eksploatację urządzeń komunalnych. Czy więc miasto rozbudowuje się? A jakże — bo gospodarze dzięki zyskom z wynajmu kwater mogą budować obszerniejsze domy, by mieć więcej kwater, by... Tak tworzy się swoiste błędne koło.

Żle zresztą powiedziałam, że miasto się rozbudowuje. To rozbudowują się (do tego brzydko, w najgorszym „pudełkowym” stylu) prywatne posesje. Zaś samo miasto cierpi na coraz większy głód inwestycyjny, głód mieszkaniowy. Sytuacja staje się alarmująca: żeby prawidłowo rozwijać szkolnictwo, służby miejskie, usługi, uzdrowiska — trzeba zapewnić mieszkania oraz tzw. infrastrukturę. Tymczasem na przykład osiedle Poloniny II, które miało przyjąć pierwszych mieszkańców w roku bodajże 1976 — do dziś nie wyszło z ziemi i nikt już nie wierzy, by stało się to szybko. Do dziś nie został rozwiązany problem oczyszczalni ścieków dla miasta, z roku na rok odsuwa się realizacja budowy tzw. drogi karpackiej, gazyfikacja nadal jest tylko marzeniem. I tak dalej, i tak dalej.

Przypomnijmy: Szczawnica-Krościenko jest uzdrowiskiem, jest miejscowością czasowo-rekreacyjną, ośrodkiem turystycznym. Leży na skraju Pienińskiego Parku Narodowego, u słynnego przelomu Dunajca, odwiedzanego przez turystów krajowych i zagranicznych. Jest unikalną stacją klimatyczną. Co się z nią stanie, jeśli jak najszybciej nie zapewni jej środków i warunków ochrony jej naturalnych, niepowtarzalnych walorów, jeśli się nie zapewni możliwości mądrego, zgodnego z jej charakterem i z potrzebami kraju rozwoju?

Owszem, są plany, opracowuje się dokumentację oczyszczalni ścieków, ujęcia wody i sieci wodociągowej, budowy drogi, która pozwoliłaby (wreszcie!) na usunięcie z centrum uzdrowiska tak uciążliwego ruchu samochodowego. Planuje się gazyfikację, bo przecież była o tym mowa nawet w głosnej uchwałie rządowej w sprawie rozwoju województwa nowosądeckiego. Oby! Ja — w każdym razie — słyszę o tych wszystkich zamierzeniach od pierwszego swego pobytu w Szczawnicy, to jest od sześciu lat. I zawsze są to na ogół zamierzenia. Wystarczy powiedzieć, że do dziś Szczawnica-Krościenko nie ma zatwierdzonych perspektywicznych planów rozbudowy (tzw. planów zabudowy przestrzennej)!

Gospodarze robią co mogą, prawda: ograniczyli ruch samochodowy, zlikwidowali chałupy-zawalidrogi, otwierają nowe pawilony handlowe, dbają o estetykę miasta. Powstało parę punktów małej gastronomii (przeważnie ajencyjnych) są dwie piękne karczmy — w Krościenku i Jaworkach. Rozpoczęto budowę wyciągu krzeselkowego na Palenicy, powstaje ośrodek rekreacyjno-sportowy nad Grajcarkiem. Widać zmiany; zmiany na korzyść. Ale póki wszyscy gospodarze miasta, dyrekcja uzdrowiska, resorty mające tu własne domy, mieszkańcy — nie zjednoczą się, nie połączą swych sił — niewiele można będzie zdziałać.

Na szczęście — rysuje się szansa przynajmniej częściowego skoordynowania zamierzeń i ambicji. Nowe władze miasta i dyrekcja uzdrowiska znalazły chyba wreszcie drogę do siebie, a to już ogromnie wiele znaczy i dobrze wróży na przyszłość.

Z niecierpliwością czekam na efekty tego nowego podejścia do najżywniejszych problemów Szczawnicy-Krościenka.

Toteż kuracjusze i czasowicze — jeśli nie są właśnie na zabiegach lub wycieczkach — oblegają nieliczne sklepy, równie nieliczne kawiarenki, placzarnie i frytkarnie (zatioczone i bez tego, bo ich produkcja zastąpić często musi obiad, którego nie ma gdzie zjeść tzw. „indywidualny”), próbują dostać się do jednego z dwu kin. A dodajmy, że budynek, w którym mieszczą się kino i Biblioteka Miejska w Szczawnicy zupełnie poważnie grozi rozsypaniem się i, co gorsza, nie widać perspektywy zmiany tej sytuacji. Swego czasu lekkomyślnie zrezygnowano z remontu, bo ktoś naiwnie uwierzył, że już — już stanie nowy, piękny kombinat Dom Kultury, gdzie pomieszczą się wszystkie placówki kulturalne...

Miejski Ośrodek Kultury — to jeszcze jedno miejsce, które pod szczytną nazwą kryje smutną rzeczywistość w postaci drewnianego baruaku tak trudnego do ogrzania, że tej zimy czę-

Przez Limanową przemknąć się nie da. Najpierw są dwa zakręty, wprowadzające w centrum miasta główną trasę z Rabki do Nowego Sącza: najpierw trzeba trochę podciągnąć pod górkę. I wtedy pojawia się Rynek. Jak z tego wynika, Rynek przegapić nie można.

Limanowski rynek to wizytówka miasta. Jest nią o wiele bardziej, niż inne rynki w innych miejscowościach. Wszyscy tu o tym wiedzą, i wiedzieli już chyba wtedy, gdy go przed dziesięcią laty wspólnym wysiłkiem przebudowywali; gdy dawny biedniutki-niziułki środek Limanowej zmieniali w prawdziwie wielkomiejski, funkcjonalny plac centralny z dwoma domami towarowymi, kompleksem gastronomicznym i ryzykownie nowoczesną konstrukcją architektoniczną na płycie rynku. Na temat tej modernej ozdoby było trochę uszczypliwych komentarzy, ale i tak od razu się widziało, że ludzie są dumni. Satisfakcja i zapal do dalszej odmiany miasta rosły, gdy w roku 1971 Limanowa zdobyła tytuł krajowego wicemistrza (powtórzył ten sukces w pięć lat później), a w roku 1972 — mistrza gospodarności.

Gospodarnie — znaczy czysto i porządknie. Limanowska schludność poblyskuje nawet na wiosennym przednówku, od reprezentacyjnych chodników w centrum po toalety na wzorowo utrzymanym dworcu autobusowym. Tylko sporadycznie trafia się coś takiego, jak zasłane odpadami tekury i rozbitym szkłem z butelek po „Venuście” koryto uregulowanej części potoku Mordarka koło mostu na ulicy Orkana, lub jeszcze bardziej tonący w śmieciach fragment tego potoku koło bulwarów (dobre sobie!) przy ulicy Zielonej. Ale to na pewno będzie szybko uprzątnięte, bez czekania na okazję typu telewizyjny „Bank 440” (w nim też Limanowa startowała, trzy lata temu, i wygrała, mając za przeciwnika Skoczów). Znacznie większym kłopotem jest komin. Stoł w samym środku miasta i niemilosierne dymy na powstały niedawno park miejski z fontanną oraz na osiedle im. Józefa Marka na wzgórzu za parkiem. Kiedyś to był komin browaru, teraz służy przetwórnemu oddziału Wojewódzkiej Spółdzielni Ogrodniczo-Pszczelarskiej. Kopceca wieżycy w centrum osiedla, który ma przodować w gospodarce turystycznej, stać na straży ochrony przyrody dla ludzkiego wypoczynku. Kluje w oczy. Spółdzielni nie można jednak ot tak, wyrzucić: znajduje tu zatrudnienie wiele kobiet, dla których miejsc do pracy w Limanowej ciągle nie ma za wiele. Wobec tego trzeba pomyśleć o filtrze dymochłonnym, i to znacznie energiczniej, niż dotąd.

Przecież jednak nie komin jest tu skalą dzisiejszych problemów. Został do załatwienia dużo większe sprawy. Pewnie, że dym trochę uprzykrza życie na jednym z siedmiu osiedli; ale 1300 osób jeszcze czeka na to, by w ogóle znaleźć własne mieszkanie. I nie będzie to czekanie krótkie. Na planach przyszłościowych miasta i na jego życiu codziennym ciąży te same, co wszędzie, trudności: braki w materiałach, siłach i środkach pionu architektonicznego. Olbrzymie inwestycje krajowe ostatniego okresu bardzo osłabły — a gdzieś indziej wręcz zrujnowały — potencjał budowlany szczebla podstawowego. Tym większe znaczenie mieć musi społeczna energia mieszkańców, ich inicjatywa w tworzeniu nowego i ulepszonego. W czasach wielkich sukcesów Limanowej w latach siedemdziesiątych, co przypominało nadanie miastu Orderu Sztandaru Pracy II klasy (1977), widać było te aktywności bardzo wyraźnie. Ważne jest, by się utrzymała — zarówno w gminie (gdzie pierwszym problemem ogółu jest teraz stworzenie sieci ulepszonych dróg), jak w samym mieście.

Oczywiście, siłami społecznymi nie można załatwić tak poważnych przedsięwzięć, jak przebudowa ciągu komunikacyjnego czy udzielenie sieci handlowej; jedno i drugie bardzo ważne. Miasto ma pełnić (już pełni) podstawową rolę w północnej części województwa: leży na szlaku turystycznym — stał jego obowiązkowo-noclegowy — i ma odciążać, ze swoimi atrakcjami wycieczkowo-narcyzyjskimi w Beskidzie Wypowskim i pobliskich Gorcach, regiony górskie bardziej na południu.



Adam Garbicz

Fot. STANISŁAW ŚMIERCIAK

NIE ZGUBIĆ TEMPA

W rozbudowie temu poświęconej sieci usług widać wspaniałe możliwości działania. Działania na polu bezpośredniego niesienia ludziom zdrowia, odprężenia i satysfakcji; musiał to być jeden z powodów, dla których JAN CEPIELIK, szef miasta w okresie jego przełomowej modernizacji, został od roku 1976 dyrektorem limanowskiego oddziału „Śnieżnica”. Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Turystycznej. I na tym stanowisku dalej przekształca przestrzeń i wnętrza: to ze środków „Śnieżnicy” powstał dwuhektarowy zalew rekreacyjny na potoku Starowiejskim, a obecnie buduje się przy nim wypożyczalnię sprzętu i kawiarnię; obecność „Śnieżnicy” widać też w wielu innych punktach, przede wszystkim w samym rynku, gdzie jeden z budynków został wyremontowany i zaadaptowany na jej centrum usługowo-administracyjne z jeszcze jednym obiektem gastronomicznym.

Ala, jak zostało powiedziane, do funkcjonalności turystycznej zaczyna Limanowej brakować dwóch rzeczy: zaplecza magazynowego i przelotowości szosy 213, którą od zachodu na Nowy Sącz, Krosno i Przemyśl jadą samochody ze Śląska i od Chyżnego przez Rabkę, a także te od Bochni i od Krakowa przez Mszanę. Kilka lat temu wdziało się o tutejszym dobrym handlu; dziś zrobiło się już za ciasno. Tymczasem budowa dużego magazynu, który poprawiłby zaopatrzenie, przewidziana jest na lata 1982—87, zaś połączenie ciągu zachodniego przez ulicę Kopernika i wiadukt ponad ulicą Orkana z kierunkiem na wschód ma być oddane w roku 1985. Wcześniej będą natomiast inne bardzo potrzebne rozwiązania: przejście podziemne koło dworca PKP i poszerzenie jezdni oraz chodnika na wylotowym kierunku zachodnim, ku Sowlińcom. W tych pracach będzie się liczyć udział OHP w Łososinie (znajdującego się obecnie pod patronatem RPGK) — i społeczny udział mieszkańców, na który liczą tu niezmiennie I sekretarz Komitetu Miejsko-Gminnego PZPR, CZESŁAW DUDEK i naczelnik miasta, JAN KUBOWICZ.

Bo limanowianie jak dotąd nie czekali na bodźce odgórne, i ostatnio też sami sobie tworzą nowe cele — jak choćby wybudowanie przekaznika II programu telewizyjnego. Dla tej inicjatywy powstał komitet społeczny; Państwowa Inspekcja Radiowa przeprowadziła

już odpowiednie badania. Istnieją również inne komitety obywatelskie: budowy osiedla domków, przedszkola, żłobka, gazyfikacji miasta. To ostatnie ma być zrealizowane do roku 1982 przez podłączenia do bocznicy gazociągu Słopnice-Muchówka; ma już gaz 400 użytkowników. Żłobek znacznie powstawał w tym roku przy osiedlu im. Józefa Marka, na miejscu dotychczasowej bazy RPGK, i będzie to zamiana nie tylko potrzebna, ale ciesząca oko: rozbabrana baza w sąsiedztwie bloków mieszkalnych i starannych klombów wygląda źle. Gorzej, niż wyglądałaby gdzie indziej; bo tu jest kontrastem.

W tym mieście nie ma, pomimo tak licznej młodzieży (ponad 4000 uczniów), zdemastrowanych urządzeń w parku. Te same cechy widać zresztą nie tylko w miesiącach dla żywych. Jedną z inicjatyw ostatnich lat był cmentarz: ten dawny, gdzie piękne tuje i świerki, gdzie tablice „dбай o czystość — nie tylko o grób rodziny, ale o całość”, nie wystarczał już przy aktualnej liczbie 11 200 mieszkańców. Przestrzeń zamknął potok Starowiejski; wyznaczono więc nowy teren na drugim brzegu, jasny i przestronny.

Leć przeciw ważniejsze, co przybywa żyjącym. A nie został jeszcze zakończony ten proces przekształcania, na czele którego kilkanaście lat temu stanęli Jan Cepielik, sekretarz partii — STEFAN GUSTEK i ANTONI RĄCZKA, prezes Spółdzielni Zaopatrzenia i Zbytu — BRONISŁAW TOKARCZYK oraz inni ludzie, pragnący zostawić tu to, co potrzebne i co na miarę ambicji. Nie, nie wszystko jeszcze jest takie, jakie wypadałoby mieć w roku 1980: ot, telefony chociażby. W Limanowej ciągle kręci się korbka. Poczta jest budowana — od roku 1975 — jednakże oddanie jej do użytku, wraz z centralą telefoniczną, ciągle daleko. Czyli miejscowa telekomunikacja wyraźnie nie nadąża za komunikacją drogową: oto bowiem, gdy od ostatniego lipca począł działać limanowski oddział osobowy PKS pod dyrekcją ADAMA BĘBENKA, nie został odwołany ani jeden z kursów autobusowych. Przy dzisiejszych brakach w tablorze i częściach jest to zgoda ewenement.

W programie nowoczesności Limanowej dobrze stoi służba zdrowia. Trzy lata temu wystartował nowy szpital dla 400 pacjentów; władze miejskie zapewniły lekarzom mieszkania w dwóch

blokach osiedla im. Zygmunta Augusta i hotel dla pielęgniarek, zaś przyszłe kadry przygotowuje zespół szkół medycznych, więc inwestycja mająca służyć całemu regionowi działa na właściwych podstawach. Aktualnie dobiega końca budowa zintegrowanej ze szpitalem przychodni specjalistycznej i pawilonu przeciwgruźliczego. Równie dobrze wyglądają w mieście nowości ostatnich lat dla tych, którzy chorować nie muszą i nie chcą: miejski basen, a przede wszystkim ośrodek sportowo-wypoczynkowy KS „Limanovia” z halą i sauną — pole aktywnej działalności ROMANA SZUMILASA.

Przytoczone szczegóły każą uznać, że Limanowa nie traci impetu. To ważne, bo zawsze przecież trudniej mobilizować się w tym drugim etapie, kiedy nie niesie już sama fala entuzjazmu gwałtownych zmian, a ciągle jeszcze zrobić trzeba tak wiele. Choćby poprawić sprawy zaopatrzenia rynku, czym niestrudzenie zajmuje się Bronisław Tokarczyk, co to kiedyś „pół miasta wystawił” (przede wszystkim domy towarowe i kompleks „Myśliwskiej” w rynku), a dziś prezesuje rejonowej spółdzielni, dającej ponad 90% tutejszego obrotu handlowego. Dużo też wypadałoby w Limanowej zrobić jeszcze dla ducha: nie wystarczy postarać się o drugi program telewizyjny i szczyt kultury w miasteczku ludowej. Prawda, że Miejski Ośrodek Kultury sprawuje opiekę nad folklorem, a „Limanowianie”, zespół pieśni i tańca, słynie w Polsce; ale prawda też, że reszta działalności kulturalnej wypełnia głównie nieprogramowana aktywność Państwowej Szkoły Muzycznej. Cóż poza tym? Jedno kino?

Wielką szansą na rozbudzenie nie tylko folklorystycznej aktywności może być oddanie w tym roku do użytku sali Młodzieżowego Domu Kultury im. Janka Kraskiego, którego patron urodził się tu właśnie, w Limanowej. Część hotelowa już działa, zagospodarowana przez „Śnieżnicę”; część kulturalna da miejsce kołu fotograficznemu i filmowemu, a przede wszystkim zawiera piękną salę widowiskową. To daje możliwości nie tylko na organizowanie spektakli teatralnych i występów grup artystycznych spoza miasta, ale na rozwinięcie aktywności w samej Limanowej. Na skalę tego, co się w ostatnich latach w mieście dokonuje i na miarę potrzeb tak licznej tu młodzieży.

Zdarza się, że tak radosne uroczystości, jakimi są ślub i wesela bywają zakłócone popospolitymi mordobiciami. I ta bójka, która zdarzyła się w podhalańskim Działiszu też była weselna, ale nie całkiem taka zwykła. W jej przypadku nie chodziło o jakieś tam zadawnione animozje, nie zawiny także zbyt bywały temperamenty, pobudzone zbyt dużą ilością trunków. W Działiszu miał miejsce największy rozbiór, a tylko szczęśliwemu zbiegowi okoliczności przypisać należy fakt, że 21-letni Andrzej T. nie przysłał zyciem napaszc trzech rówieśników.

A więc było góralskie wesela, były góralskie stroje i był tłum gości. Jak obyczaj każe, na weselne tańce zbiegli się także i młodzi mieszkańcy Działisza, których wprowadzić nikt oficjalnie na ślubną ucztę nie zapraszał, ale nikt też z odświętnie udekorowanego obojętnością nie wyganiał. Tym nieprosionym udostępniono stodołę, na klepsku której podrygiwać mogli do woli. Co przezorniejsi zaopatrzyli się wcześniej w alkohol, jako że zabawa bez wódki, to żadna zabawa. Pod „dobrą datą” był 21-letni Andrzej T., wstawieni byli również bracia Jan i Stanisław M. Na wesela przyjechał także Jacek S.

Tę propozycję wysunął Andrzej T. Bez ogródek oznajmił braciom M., że ma chrapkę na Jacka. Ta „chrapka” nie wiązała się z żadnymi podejrzanymi aberacjami Andrzeja, lecz znaczyło to jedynie, że należy Jacka S. najpierw pobić, a potem przeszkukać jego kieszenie.

Jan i Stanisław M. intencje kumpla zrozumieli znakomicie, a ponieważ nadzieja na finansowy łup podziałała na ich wyobraźnię, odczono przystali na brutalny w swej prostocie plan Andrzeja. Rozbiór został także brutalnie i okrutnie zrealizowany.

Jacek S. nie podejrzewając niczego złego wyszedł ze stodoły. W ciemną noc, w ciszę. Na dworze czekali już napastnicy. Nastąpił atak.

Pierwszy uderzył Jan M. Sztachetą w głowę. Cios był silny, celnie mierzony. Jacek S. upadł bezwładnie na ziemię. Tej sztachety i tego uderzenia było napastnikom mało. Teraz Andrzej T. kopie nogą w twarz Jacka. „Zwycięzcy” są przekonani, że swoją robotę wykonali szybko, bezszmerowo, a przede wszystkim skutecznie. Zespołowo podnoszą swoją ofiarę z ziemi i przenoszą Jacka na brzeg pobliskiego potoku. Tu Stanisław M. bije jeszcze Jacka S. pięściami po twarzy, ale ten nie reaguje już na kolejne razy.

Szukają tej „swojej” forsy: skórzany portfel tkwi w kieszeni marynarki, w jego wnętrzu widnieją pedantycznie poukładane banknoty. Na oko pieniędzy jest sporo. Andrzej T. i bracia M. nie licząc swojej zdobyczy, czym prędzej oddalają się z miejsca zdarzenia, zostawiając nieprzytomnego Jacka nad wodą. Zupełnie nie interesują się jego losem. Zrealizowali już swój plan, mają pieniądze.

Nie handryczyli się przy podziale forsy. Stosując swoistą miarkę sprawiedliwości i zasadę: według „zasług” zdobyte 7 tys. zł. rozdzielili w sposób następujący: Jan M. otrzymał 3 tys. zł, jego brat dostał 2 tys. zł, także 2 tys. zł wręczono Andrzejowi T. Najbardziej cieszył się Andrzej T., któremu właśnie 2 tysiące brakowało do zapłacenia należności za kurs jazdy.

Kompani pomyśleli także o zniszczeniu dowodów rzeczowych. Portfel Jacka S. wrzucony został do rzeki, pod wodę poszły także znajdujące się w portfelu zdjęcia. Napastnicy po tak „udanej” nocy wrócili więc do swoich domów, i ani na moment nie pomyśleli o dniu, w którym zdać będą musieli

musiał lekarz. Na szczęście nie zagrażały one życiu młodego mężczyzny. Jak wynika to z dokładnej diagnozy, ofiara doznała krwiaka pourazowego okolicy potylicy po stronie lewej, krwiaka nosa, wieloodłamowego złamania kości nosa, a także szeregu zadrapań, siniaków itp.

kojnie i najzwyczajle w świecie. Andrzej T. zapłacił należność za kurs samochodowy, bracia M. za zrabowane pieniądze kupili sobie ciuchy. Zdziwieni więc byli bardzo, gdy pewnego ranka trafili za kratki.

Początkowo nie przyznawali się do zarzutów, udawali niewiniątka, które nie wiadomo dlaczego wsadza się do kryminalu. Gdy jednak przedstawiono im zgromadzone przez milicję dowody, miny hardych młodzieńców stały się mniej pewne. Jeden po drugim zaczęli także opowiadać jak to tym rozbojem było. Każdy z nich jak mógł tak próbował wybielić się, zrzucając całą winę na kompanów. O kumpelskiej solidarności zapomniano całkiem.

Wydawało się, że śledztwo w sprawie rozboju w Działiszu zakończy się szybko i bezproblemowo gdy nagle w całej sprawie nastąpił niespodziewany i gwałtowny zwrot. Oto w trakcie jednego z przesłuchań, przeprowadzane przez prokuratora bracia M. i Andrzej T. zmienili nagłe swoje wyjaśnienia. Utrzymywali teraz, że z rozbojem w Działiszu nie mają nic wspólnego, a przynali się tylko dlatego, gdyż bali się... milicji. Zaprzeczenia te mają raczej jednak sens wątpliwy, jako że podejrzani zapomnieli o własnych listach, pisanych z aresztu do prokuratora. I tak Stanisław M. kaligrafował: „...zwracam się z uprzejmą prośbą o uchylenie lub zwolnienie mnie z aresztu otrzymanego w dniu 9.XI.1979 r. Prośbę motywuję tym, że w domu na gospodarce pozostali rodzice w wieku podeszłym. Nadmieniam, że do pobicia namówił mnie Andrzej T. Ja w tym czasie byłem w stanie nietrzeźwym i nie zdawałem sobie sprawy co z tego wyniknie”.

Natomiast brat Stanisława M. pisał: „...Ja Jan M. zamieszkały w Działiszu zwracam się uprzejmą prośbą o uchylenie mi tymczasowego aresztowania otrzymanego za to, że miałem brać udział w pobiciu Jacka S. oraz zabrać mu pieniądze. Prośbę swą motywuję tym, że ja mu pieniądze nie zabrałem jedynie go pobitem wraz z moim bratem oraz Andrzejem T. Nadmieniam, że pieniądze zabrał mu Andrzej T. Ponadto prośbę swoją motywuję tym, że w domu pozostali sami rodzice w wieku podeszłym, a gospodarstwo posiadamy o powierzchni 4 hektarów”.

Łęk przed karą, słowa o 4 hektarach, podpadające gospodarce. Ani jednego zdania żalu, ani jednego zdania refleksji nad dokonany przez siebie bestialskim czynem. Brak wspomnianej refleksji zastawia i niepokoi w równym stopniu jak sam fakt rozboju czy pozostawienia pobitego człowieka bez żadnej pomocy. Czy dla tych młodych ludzi cudze zdrowie i cudze życie na prawdę nie ma żadnej wartości?

Na te pytania odpowiedzieć choćby częściowej zapewne udzieli przewód sądowy. Do Sądu Wojewódzkiego w Nowym Sączu wpłynął już akt oskarżenia przeciwko braciom M. i Andrzejowi T. Sprawa rozboju rozpatrywana będzie na sesji wyjazdowej Sądu Wojewódzkiego w Zakopanem. Ze swojej strony dodajmy tylko, że rodzice oskarżonych zadbali o zapewnienie swoim synom procesowego komfortu, angażując znanych przedstawicieli pałestry i robią wszystko, by zlagodzić synalkom niedogodności związane z pobyt w mało przytulnym zakładzie karnym.

Janusz Hańderek

WESELY ROZBÓJ



Archiwum

sprawę z dokonanego rozboju. W zostawili śladów, nikt ich nie widział, więc jakim cudem milicja mogłaby spaść na ich ślad?

Jacek S. przytomność odzyskał po kilku godzinach. Jego rany opatrzyć

Oczywiście o przestępstwie w Działiszu została zawiadomiona milicja. Wdrożono śledztwo.

Gdy trwały milicyjne poszukiwania sprawy rozboju, — ci pewni swojej bezkarności — zachowywali się spo-

SZANSA NASZEJ WSI

Już ponad rok obowiązuje Uchwała Nr 111 Rady Ministrów w sprawie utworzenia w Centralnym Związku Spółdzielni Rolniczych „Samopomoc Chłopska” funduszu rozwoju przetwórstwa rolno-spożywczego w gminach. Na jej podstawie gminne spółdzielnie „Samopomoc Chłopska”, mleczarskie oraz ogrodniczno-pszczelarzarskie tworzą specjalny fundusz, składający się z procentów od wartości skupienia masy towarowej, dobrowolnych wpłat członków oraz części własnych środków finansowych, a przeznaczony na budowę, rozbudowę i modernizację różnego rodzaju zakładów przetwórstwa rolno-spożywczego na wsi, takich jak: przetwórstwa i suszarnie owoców i warzyw, zlewnie i punkty schładzania mleka, piekarnie, zakłady przetwórstwa mięsnego, wytwórnie napojów bezalkoholowych.

Celem utworzenia funduszu jest wykorzystanie lokalnej bazy surowcowej, pobudzenie jej rozwoju, poprawa zaopatrzenia ludności wiejskiej, a także aktywizacja gospodarza i unowocześnianie wsi.

Z funduszu mogą być finansowane inwestycje o wartości nawet do 30 mln zł, przy czym jest niezmienne, nie istotne, że budowy te są realizowane poza limitowymi nakładami inwestycyjnymi, ujętymi w rocznych planach społeczno-gospodarczych spółdzielni.

Utworzenie funduszu rozwoju przetwórstwa rolno-spożywczego ma szczególne znaczenie dla województwa nowosądeckiego, bowiem — oprócz spokojania potrzeb miejscowej ludności — musimy także uwzględnić spożycie produktów rolno-spożywczych przez ogromną rzeszę wczasowiczów, turystów i kuracjuszy, odwiedzających rocznie region nowosądecki, „zagłębnie” turystyczno-uzdrowiskowe.

Nasze województwo ma stosunkowo dobre rozwiniętą bazę sadowniczą i ogrodniczą. Powierzchnia sadów i plantacji jagodowych, wynosząca 4,64% użytków rolnych, stawia je na trzecim miejscu w kraju. Istnieje możliwość dalszego rozszerzenia arealu tak sadów, jak i upraw warzyw,

uszlachetniania płodów, a przede wszystkim zapewnienia odpowiednich warunków ich przechowywania.

Znaczącymi osiągnięciami może się już poszczycić Wojewódzka Spółdzielnia Ogrodniczo-Pszczelarzarska w Nowym Sączu, która na początku 1979 r. przystąpiła do realizacji planu inwestycji z tego właśnie funduszu, przeznaczając na nie 11 mln zł. Do chwili obecnej oddano do użytku ziemniaczarki w Łącku i Nowym Targu; przechowywalni ziemniaków w Zakopanem, punkty przechowywania surowca do produkcji owocowo-warzywnych w Łącku, Gorlicach, Mszanie Dolnej, zaś w budowie są punkt przygotowania surowca w Jodłowniku i gminny ośrodek przetwórstwa owocowo-warzywnego w Ujanowicach. W tym roku rozpoczęte zostaną budowy w kilku następnych miejscowościach.

Warto też zaznaczyć, że tzw. „ziemianniczkarni”, tj. stosunkowo proste i tanie przechowywalni ziemniaków, budowane są według nowatorskiego projektu zrealizowanego w WSOP w Nowym Sączu przez mgr. inż. Jerzego Zdunkiewicza.

Litości i miłosierdzia wołają mieszkańcy z ulicy Długosza, a to począwszy od koszar żandarmeryi aż do drogi prowadzącej ku nowemu cmentarzowi. Gdyby przedstawiciel — mniejsza już jakiej władzy administracyjnej w naszym mieście, raz jeden chciał użyć spaceru tą drogą w czasie słotnym, jak go używa znaczna liczba publiczności, brnąc w błocie do połowy kolan, może przecież obudziliby się w nim uczucie litości.

Magistrat, pobierający dochody z kopytkowego, który to dochód przeznaczony jest wyłącznie na utrzymanie i upiększanie ulic, zatyka oczy i uszy wszystkich swoich urzędników na stan taki od lat dawnych.

15 listopada 1894 r.

W Nowym Sączu w czasie przedstawienia amatorskiego jeden z Sokółów odgrywających na scenie — dobrze swą rolę odegrał, bo zamiast drewnianym, to prawdziwym sztyletem — niebacznym — uderzył drugiego tak, że ten ugodzony padł trupem na miejscu. Tą ofiarą karygodnej niebacznosci padł p. Tadeusz Cyniński, właściciel piekarni. Miał lat 31. Zostawił wdowę i dziecię.

15 grudnia 1894 r.

NADESŁANE: Rozporządzeniem Wys. c. k. Namiestnictwa uzyskałem koncesję na zakład pogrzebowy i wszystkie z nim połączone przedsiębiorstwa. Łaskawe zlecenia spełniałem zawsze ku ogólnemu zadowoleniu P. T. Publiczności... Ale jak wszędzie, tak i tutaj są urogowie, którzy dla dopięcia celów swoich nie przebierają w środkach. Otóż niegodziwi przeciwnicy moi, na jakiś czas przed zgonem s. p. Wgo Dr Ślawika, burmistrza tutejszego, rozpuścili pogłoskę, jakobyem czyhał na jego pogrzeb, a nawet przez kilka ostatnich tygodni zaglądał pod ckną, gdzie leżał chory.

Bezczelny ten zarzut odeprzeć muszę publicznie i oświadczam, że nigdy, a tem mniej w tym wypadku nie ubiegalem się o pogrzeby, jak również za przeczem, abym wyzyskiwał śmierci s. p. Dr Ślawika. Przy tej sposobności polecam się nadal łaskawym względom

o starej przy

P. T. Publiczności, która już tyle okazała dowodów życzliwego poparcia dla mego zakładu.

Z głębokim szacunkiem
OLEKSY JAN

właściciel koncesyowanego zakładu
pogrzebowego w Nowym Sączu
15 grudnia 1894 r.

które bezpłatnie wykonywać powinny, żądają znacznych prezentów, bądź to w naturze lub też monecie brzączącej.

Panowie ci zapominają widocznie, że piastują urzędy, które są przeznaczone dla publicznej usługi... Urzędnicy magistratualni posiadają pensje zupełnie przyzwoite, nie godzi się im przeto

posiedzeniu Rady miejskiej, a burmistrz wdrożyć dochodzenie. Jeśli zaś zawinili funkcjonariusz magistracki, należna kara nie powinna go ominąć. Inaczej nastąpi u nas mogą stosunki sycylijskie...

15 lutego 1895 r.

Miasto liczące 7.622 mieszkańców ma przy tamtejszym urzędzie pocztowym 6 listonoszy, Gorlice na 5063 mieszkańców mają 3 listonoszy, zaś w Nowym Sączu przy ludności blisko 13.000 jest zaledwie 4 listonoszy. Publiczność dla wyszukanej oszczędności nie powinna cierpieć w otrzymywaniu korespondencji.

1 marca 1895 r.

„Mieszczanin” donosi...

P. Knolly przedstawił osobliwy wniosek ku ochronie płci pięknej od wiarołomstwa mężczyzn. Autor proponuje, aby zamiast obrączek, stanowiących łatwy do usunięcia dowód, iż się ślubowało wiare, wypalano przy zawiązywaniu związków małżeńskich obu stronom na trzecim palcu lewej ręki znak w kształcie obrączki. Osoby niezamężne i ludzie niezona, którzyby nie pozwolili sobie na podobne tatlowanie, mają być karani sądownie. Wdowom i wdowcom wypalać należy gwiazdki nad obrączką, rozwodnicy mieliby przerzynając ją w poprzek kreską. Operacji tatuowania wykonywałby rzeczoznawca w urzędzie cywilnym. P. Knolly używa w wszystkich tych, którym projekt jego do serca przypadnie, aby utworzyli związek propagacyjny.

1 stycznia 1895 r.

Nowy Sącz,
„Wenecja”

Reprodukcje archiwalnych zdjęć —
JOANNA GAJDA i WŁADYSŁAW WERNER



Łapownictwo w urzędowaniu. Sądzą niektórzy urzędnicy magistratualni, że są panami i rządami miasta, z tego też punktu widzenia wychodzą i traktują strony opryskliwe, z góry, a za czynności urzędowe,

oglądając na cudze kieszenie, zwłaszcza, że kuba n dają najbiedniejsi mieszkańcy, albowiem z bogaczami urzędnicy miejscy muszą się liczyć i są dla nich sprzedającą grzeźmi. Jeśli się dzieje krzywda najbiedniejszemu obywatelowi, zaraz powiniem o niej powiedzieć najbliższemu radnemu, który jest obowiązany poruszyć ją na pełnem

Wyboru dokonał
JERZY LEŚNIAK

Róża Drojicka

„Przepaść pięści uda...”

Zanim ktoś przystąpi do napisania historii grafomanii polskiej podajemy ku rozveseleniu (zaś autorem współczesnym ku przestrodze) garść cytatów, wyjętych z prasy lat dwudziestych, opisujących wrażenia pp. Autorów z pobytu pod Giewontem (a niekiedy nawet na Giewoncie).

Kto w owym czasie przyjeżdżał do Zakopanego? „Wyzwolenie Społeczne” z Bielska-Białej, nr 35/1924 donosi:

„Życie wre w Zakopanem w całej pełni. Restauracje pełne. Mieszcowski górale, restauratorzy i handlarze ciągną pasek w najlepsze. Powojenna burzuazja bawi się, tańczy, hula, wyrzucając setki i tysiące złotych niepotrzebnie, gwoli zadowolenia swych 'chuci'”.

Niejaka Grażyna zwierza się czytelnikom „Płomieni” 17—20/1922:

„Rozwijam skrzydła swe jak Ikar. Lecę w Tatrach! Oto noc ciemna, odleć niewidzialna zobaczysz świtanie w Tatrach. Byle wyciągnąć ramiona — skrzydła mi wytrysną. Pora tam lecieć! O, dajcie mi skrzydła!” itd., na całą kolumnę gazety.

W „Kurierze Lwowskim” 216/1929 natomiast znajdujemy aforyzm:

„W obliczu potworów granatowych, czyhających na nas jak na mrówki — wszyscy ludzie są braćmi.”

Owe „potwory granatowe” to bynajmniej nie granatowa policja, lecz szczyty tatrzańskie.

Autor z „Gazety Gdańskiej” 219/1924 napisał w natężeniu:

„Na tele marmurowych deseni nieba sterczą skały-potwory, porośnięte kolcami drzew iglastych. Wśród takich skał znajduje swój początek rzeczka Dunajec, która sunie, by swe wody odprowadzić na czas do Bałtyku. Z wysokiej turni, gdzie wśród gniazd orłów i sokółów rzadko znajduje się odważny turysta, przedstawia się widok następujący:



Zakopane, hotel „Bristol”, 1927

dołem przepaść straszliwa grozą pięści uda, dołem we mgłach zajęły noclegi widma straszliwe”.

Wspaniałym stylistą okazał się druh z II Łowickiej Harcerskiej Drużyny Rzemieślniczej, który w „Łowiczaninie” 21/1922 opisał wyprawę w Tatrach:

„Należy zaznaczyć, że w spiętrzonej ponad Zakopaniem łańcuchu wierzchów tatrzańskich najbardziej charakterystyczną postacią jest Giewont, że podczas całej naszej podróży panowała mgła, zaś na samym szczyście jest krzyż i byliśmy przez parę minut za życia w obłokach. Po drodze komendant Zdich pokazał nam swój spadek po śniegu przed dwoma laty”.

Stosunki społeczne opisuje „Gazeta Zakopiańska” 28/1922:

„Przed kilku dniami wydano w Spółce Handlowej większe zapasy kaszy dla instytucji humanitarnych po cenach bardzo niskich. Jest to — jak nas poinformowano — zasługa p. inspektora stacji klimatycznej, którego niezmordowanym staraniem zawdzięczają przydział ten ubogie wdowy i sieroty. Niestety, kasza jest nieco zepsuta, ponieważ leży w magazynie od pierwszego listopada roku ubiegłego.”

Demaskator z „Głosu Prawdy” 103/1928 stwierdza:

„W nocy zakopiańska straż urzędzila nagły alarm, nie uprzedzając o tem nawet policji. Wyjechała autem, przejeżdżając ulicą Kościeliską, Krupówki i wjeżdżając na ulicę Witkiewicza. Po drodze zgubiła wózek z węzami strażackimi, a gdy to zauważono, zawrócono z takim impetem, że złamano jedyne, niedawno zakupione auto pożarne w Zakopanem. Straż zatem letniej stolicy Polski pozostała obecnie bez auta. niewiele to zresztą zaszkoźdi, bo w razie pożaru i tak nigdy nie ma wody do gaszenia ognia”.

I na zakończenie dwa cytaty z 1928 roku — o aktualnej jakby treści. Pierwszy z lwowskiego „Słowa Polskiego”, drugi z łódzkiej Ilustrowanej Republiki”:

„Pogoda w ostatnich dniach znacznie się poprawiła, a od wczoraj sypie śnieg i przykrywa swą bielą wszystkie niedomagania miejskiego zakładu czyszczenia miasta i miejskiego zarządu budowlanego”.

„Przed paru dniami zakończono roboty przy kładzeniu kabli telefonicznych dla nowej centrali, przyozem bruki na wszystkich ulicach były rozkopane, co przy panujących przez kilka dni opadach deszczowych wytworzało błoto miejscami nie do przebycia. Zaledwie to się skończyło, przystąpiła elektrownia miejska do kładzenia kabli podziemnych w całym mieście, przyozem znowu zrywa się ułożone bruki, choć roboty te mogły być równocześnie prowadzone”.

Nowosądecki Magazyn Ilustrowany „DUNAJEC” — jednodniówka KW PZPR w Nowym Sączu. Zredagował zespół: Krzysztof Dohosz, Krzysztof Dybel, Elżbieta Glinka, Mieczysław Matras, Roman Morańda, Adam Ogórzałek, Marian Wasilewski. Adres: redakcji: 13-300 Nowy Sącz, ul. Narutowicza 6, II piętro, telefon: 203-34. Drukowano w Prasowych Zakładach Graficznych RSW „Prasa-Książka-Ruch” w Krakowie. H-18

